NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 24 października 1908. Nr. 43

Napad na pocztę austryacką.

Treść na str. 2.





Zmiana w generalicyi: Zbrojmistrz jenerał br. Üxküll-Gülleband, komendat korpusu w Budapeszcie.



Zmiana w generalicyi: Zbrojmistrz jenerał Winzor, komendant XV. korpusu w Serajewie.



Zmiana w generalicyi: Zbrojmistrz jenerał Varesanin, komendant korpusu w Zadarze.

Napad na pocztę austryacką.

(Do illustracyi tytułowej).

Bojkot wszystkiego, co austryackie, na południu w granicach Turcyi i Serbii wprawdzie nieco osłabł, jednak dał się we znaki przemysłowi austryackiemu. Sfanatyzowany tłum nie pozwolił okrętom austryackim lądować, przemocą wstrzymywano kupujących od odwiedzania austryackich sklepów, słowem doszło do tego, że austryacki ambasador przy dworze tureckim zmuszony był szukać opieki dla poddanych austryackich u samego sułtana, a słowa jego poparła Austrya wysłaniem swojej eskadry wojennej na wody tureckie. Ludność turecka przekonała się wkrótce, że największą szkodę wyrządza sama sobie, więc też uspokoił się sztucznie rozdmuchiwany zapał i nastał względny spokój. Dzienniki tureckie jak n. p. *Ikdam*, wzywający do walki ekonomicznej, przypuszczają, że w ten sposób podniesie się przemysł rodzimy, *Sabach* atakuje ostro margrabiego Pallawiciniego za jego kroki, poczynione w obronie handlu i przemysłu austryackiego. Doszło do tego, że w jednej z miejscowości tureckich sfanatyzowany tłum napadł na austryacki urząd pocztowy. W budynku wybito szyby, rozbito stojącą na ulicy karyolkę i skrzynkę na listy, oraz zdemolowano wewnętrzne urządzenie urzędu. Pełniący służbę urzędnicy tylko z trudem uniknęli śmierci z rąk tłuszczy, najlepiej wyszli na tem uliczni włóczędzy, którzy rozchwytali w jednej chwili pakunki wydobyte z rozbitego wozu pocztowego. Po dobrej chwili nadciągnęła dopiero miejscowa policya i uspokoiła demonstrantów. O wypadku zawiadomiono natychmiast austryackiego ambasadora w Konstantynopolu, który zwrócił się do wielkiego wezyra z żądaniem, aby podległym sobie władzom wydał polecenie skuteczniejszej ochrony austryackich poddanych i ich interesów.

Illustracya tytułowa, sporządzona według szkicu jednego z naszych tureckich korespondentów przedstawia groźną chwilę, gdy rozbestwiony tłum rzuca się na urząd pocztowy.



Zmiana w generalicyi: Zbrojmistrz jenerał Gerba, komendant XIII. korpusu w Zagrzebiu.

Nowy inspektor armii austryackiej.

Niejasna sytuacya polityczna na południu monarchi i możliwość zatargu zbrojnego ze Serbią, spowodowała naczelny zarząd wojskowy do zamianowania nowego generalnego inspektora wojsk austryacko-węgierskich. Odstąpiono jednak od dawnego zwyczaju, na mocy którego inspektorowie generalni mieli swoją siedzibę we Wiedniu, gdyż nowo mianowany ma wskazany Insbruk jako miejsce zamieszkania.

Wybór padł na arcyksięcia Eugeniusza, dotychczasowego komendanta korpusu XIV w Insbruku i wielkiego mistrza Zakonu niemieckiego w granicach Austryi. Arcyksiążę Eugeniusz, syn ś. p. arc. Karola Ferdynanda i ś. p. arcyksiężnej Elżbiety, urodził się dnia 21 maja 1863 w Gross-Seelowitz. Jest on rodzonym bratem tak popularnych w Galicyi arcyksiążąt: Fryderyka, obecnego generalnego inspektora austryackiej obrony kra-



Kryzys turecko-bułgarski: Zgromadzenie ludności przed poselstwem rumuńskiem w Sofii.

jowej i właściciela Żywca, arc. Karola Stefana, oraz królowej hiszpańskiej Krystyny. Arcyksiążę Eugeniusz uchodzi w armii austryackiej za wybitnego strategika, dlatego też z powodu obecnej nominacyi chce go widzieć opinia publiczna naczelnym wodzem armii austryackiej w możliwem starciu z państwami bałkańskiemi. Obecnie ma więc Austrya trzech generalnych inspektorów armii: arcyksięcia Eugeniusza, oraz generałów zbrojmistrzów bar. Albori'ego i Fiedlera.

Podajemy czytelnikom najświeższe zdjęcie nowomianowanego dostojnika wojskowego.

Zmiana w generalicyi.

W ostatnich czasach nastąpiło kilka zmian na najwyższych stanowiskach wojskowych. W miejsce gen. Üxkülla, który z powodu podeszłego wieku przeszedł na emeryturę, komendantem korpusu budapeszteńskiego został generał zbrojmistrz Czibulka, dotychczasowy komendant w Pradze. Szef rządu krajowego i komendant korpusu XV. w Serajewie, gen. Winzor ustępuje też z zajmowanego stanowiska a miejsce jego ma zająć jako gubernator Bośni i Hercegowiny gen. Varesanin, dotychczasowy komendant w Zadarze.

Na telegraficzne zapytanie cesarza, czy przyjąłby to odpowiedzialne stanowisko, zgodził się już podobno. Varesanin, Serb z pochodzenia, jest znakomitym znawcą stosunków miejscowych, a jako Słowianin cieszyć się będzie poparciem ludności bośniackiej.

Komendantem częściowo zmobilizowanego korpusu zagrzebskiego (XIII.), który w razie zbrojnego zatargu z Serbią, przekroczyłby Dunaj, jest generał Gerba, jeden z najzdolniejszych austryackich oficerów.

W razie więc spodziewanej wojny na pierwszy ogień poszliby obaj ostatnio wspomniani: Gerba i Varesanin, dlatego postaci ich budzą najwięcej zainteresowania. Miejsce korpusu zagrzebskiego, gdyby ten musiał wkroczyć do Serbii, zająłby korpus VII. z Temenszwaru. Zdaje się jednak, że sprawa skończy się na zimno, choć na granicy między obu państwami poczyniono wszelkie przygotowania wojenne, obsadzono załogami ważne strategiczne miejsca, a flotyla Dunajowa posunęła się ku Belgradowi, skąd dwór królewski miał się z obawy przed wojną przenieść do Kragujewacza.

W bieżącym numerze podajemy portrety wszystkich wyżej wspomnianych generałów, jako uzupełnienie umieszczonego w poprzednim numerze artykułu, dotyczącego zbrojeń Austryi i Serbii oraz domniemanych dowódców austryackich zastępów, przeznaczonych do wkroczenia do Serbii.



Nowy inspektor armii austryackiej: Arcyksiążę Eugeniusz.

Po aneksyi Bośni i Hercegowiny.

Z chwilą, gdy ogłoszono aneksyę Bośni i Hercegowiny, miejscowa ludność, nawet muzułmańska, okazała żywe z tego powodu zadowolenie. Deputacya stolicy Serajewa, pod przewodnictwem wiceburmistrza Mandica udała się do Budapesztu, aby złożyć cesarzowi podziękowanie, w całym kraju odbyły się dziękczynne nabożeństwa w świątyniach wszystkich obrządków. W Serajewie odbyło się w miejscowej katedrze uroczyste nabożeństwo w którem prócz tłumu miejscowej ludności wzięli udział i przedstawiciele władz wraz z szefem rządu krajowego, feldmarszałkiem porucznikiem Winzorem. Wogóle sympatya ludności bośniackiej jest po stronie Austryi, nawet muzułmanie zgodzili się z nowym porządkiem rzeczy, a miejscowi Serbowie, mimo żywej agitacyi ze strony Belgradu, nie dają posłuchu namowom i zachowują się spokojnie. Że ludność Bośni zadowolona jest z rządów austryackich, dowodem tego deputacya, złożona z kilkudziesięciu notablów z Novi-Bazaru, którzy udali się do cesarza Franciszka Józefa z prośbą, aby cofnięto rozkaz ewakuacyi Sandżaku, gdyż oni na tem poniosą szkodę materyalną i nie będą się czuli, jak dotąd bezpiecznymi.

Rozgłoszone przez dzienniki powstanie Serbów w Hercegowinie i zaprowadzenie tam rządów doraźnych, okazało się dziennikarską fantazyą, tak jak wogóle wszystkie zakusy serbskie o zawładnięcie Bośnią i Hercegowiną muszą być uważane tylko za mrzonkę. Bośnia i Hercegowina pod rządami austryackimi tak odżyła, że nie marzy nawet o tem, aby zmieniać panującego, zwłaszcza, że Karageorgiewicze nie rokują wcale nadziei, aby było pod ich berłem lepiej niż jest obecnie, choć król Piotr w swoim czasie pod nazwiskiem Piotra Serkowicza był jednym z przywódców ruchu rewolucyjnego w Bośni.

Zachodzi obawa, że z chwilą, gdy reszta wojska austryackiego opuści Sandżak, dotąd wymaszerowała artylerya i część piechoty, Serbia bądź się starała wtargnąć do kraju, na co Austrya nie mogłaby się zgodzić, gdyż bezpośrednie zetknięcie się Serbów i Czarnogórców byłoby bardzo niebezpieczne ze względu na ludność serbską Hercogowiny. Zresztą i Turcya nie zgodzi się nigdy na to, aby miała Sandżak utracić, gdyż przecież ewakuacya była rekompensatą za aneksyę krajów okupowanych. Z wiarygodnego źródła dowiadujemy się, że ludność Bośni nie spodziewa się wojny, co najwyżej obawia się wkroczenia band rozbójniczych.

W bieżącym numerze podajemy illustracye, przedstawiające generała Winzora, opuszczającego katedrę w Serajewie po uroczystem nabożeństwie z okazyi ogłoszenia aneksyi, oraz scenę z ulicznego życia Serajewa bezpośrednio po ogłoszeniu manifestu cesarskiego o aneksyi okupowanych krajów.



»Sokół« w Boguminie-dworcu: Wydział wraz z ćwiczącymi członkami.

„Sokół“ w Boguminie-dworcu.

Jedną z najdzielniejszych placówek naszego życia narodowego na kresach, są towarzystwa gimnastyczne „Sokół“. Do takich placówek bardzo potrzebnych, należy „Sokół“ w Boguminie-dworcu. A z pewnością nie jeden z przejezdnych, widząc w Boguminie co krok napisy tylko niemieckie, słysząc tylko język niemiecki — nie przypuszcza, że to tylko sztucznie nałożony pokost. „Sokół“ bogumiński, zawiązany przed rokiem ma tam ciężką i trudną walkę — z Niemcami i Czechami, ale ma też wdzięczne zadanie do spełnienia.



Kryzys turecko-bułgarski: Turecka kawalerya.

Dzięki usilnym zabiegom pozyskuje też ludność miejscową dla idei sokolej, a tem samem narodowej. Toteż hakatyści miejscowi nie skąpią starań i intryg, aby byt „Sokoła“ podkopać; i niech się który z Polaków na poczcie lub kolei odważy otwarcie przyznać do swej narodowości, niech wstąpi w szeregi „Sokołów“, może być pewny, że wkrótce władza przeniesie go gdzieindziej. „Sokół“ bogumiński jednak walczy. Obecnie przystępuje „Sokół“ bogumiński do gromadzenia funduszów na budowę własnej — choćby najskromniejszej sokolni. Jest to tem więcej naglące, że sali do ćwiczeń w żadnym lokalu uzyskać nie może. Więc grozi wprost rozbicie towarzystwa, które nie ma gdzie pracować.



Kryzys turecko-bułgarski Tureccy oficerowie i urzędnicy komory celnej. W głębi bułgarski posterunek graniczny.

Zagadkowa śmierć kolportera.

W nocy z czwartku na piątek ubiegłego tygodnia zawezwano pogotowie Towarzystwa ratunkowego na ulicę Krowoderską, gdzie znaleziono leżącego w kałuży krwi nieprzytomnego człowieka. Jak się przekonano był to znany w Krakowie pod popularnem imieniem „Romcia“ kolporter gazet, Roman Grochowski. Przewieziono go natychmiast do szpitala św. Łazarza, gdzie jednak wkrótce zmarł, nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności.

W mieście opowiadano sobie różne historye o przyczynie śmierci biedaka, podając jako powód pobicie lub najechanie przez automobil, na co wskazywałoby skonstatowane u denata załamanie czaszki. Przeciw pobiciu w celu rabunkowym przemawia okoliczność, że znaleziono przy nim pugilares, zawierający kilkanaście koron, oraz znaną jego torbę, w której mieściły się czasopisma, nienaruszoną. Jak dochodzenia wykazały, przyczyną śmierci miał być nagły udar sercowy. Tracąc przytomność, upadł Grochowski na bruk i rozbił sobie czaszkę. Upadającego miał widzieć żołnierz policyjny, który też zaalarmował zaraz Towarzystwo ratunkowe. Policya wdrożyła dochodzenia, które nie dały jednak żadnych pozytywnych rezultatów. Sprawdzono, że bezpośrednio przed wypadkiem był w pewnym lokalu przy ulicy Krowoderskiej, gdzie sprzedał kilkanaście numerów *Nowości Illustrowanych*, których miał przy sobie sto egzemplarzy, spodziewając się tego dnia większego zbytu ze względu na spodziewaną wojnę austryacko serbską. Wyszedł zupełnie sam na ulicę i tam życie zakończył.

Sekcya sądowa stwierdziła udar sercowy jako przyczynę zgonu.

Ze zmarłym ginie jedna z typowych postaci, znanych na krakowskim bruku.



Kryzys turecko-bułgarski Na pograniczu Serbii i Bułgaryi.



Kryzys turecko-bułgarski: Bułgarscy pontonierzy przy budowie mostu.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

19 CZĘŚĆ DRUGA. (Dokończenie).

Układa cały, wcale skomplikowany plan wyzwolenia. Potajemnie, wraz z ukochanym powrócą w te strony oboje, żeby odszukać córkę, którą znaleźć muszą... a wydrzeć jej sobie nie dadzą. Potem uciekną na kraj świata, daleko... het, het, aż tam, kędy przeklęte prawa nie przykuwają żony do znienawidzonego męża...

Wybiegła z lasku.

Kroczy dalej wązką, kamienistą ścieżką jak może najspieszniej. Odwraca się kiedy niekiedy poza siebie drżąca, bo znowu strach owładnął jej sercem. Co będzie, jeśli on za nią goni... i dogoni nareszcie?

Uspokoiła się dopiero, gdy Castillon z willą, w której Janinka przyszła na świat, znikło jej zupełnie z oczu. Wtedy zwalnia nieco kroku. Dzisiejszem zajściem południowem rozdrażniona i z sił wyczerpana, czuje przytem dokuczliwy ból w stopach. Na chropowatych nierównościach skalistego gruntu i kamieniach, jak ostre kolce wyzierających z pod ziemi, podarła trzewiki i poraniła nogi — a szybkie schodzenie z góry wstrząsnęło boleśnie jej łonem, znużonem niedawną brzemiennością. Wlecze się ledwie o zmroku — bo zmrok już zapada — idzie jednak ciągle, trzymając się uważnie wskazanej przez oberżystę drogi.

W nocy dopiero staje w Mentonie i nie bez trudu najmuje konie i powóz, odwieźć ją mający do Nizzy.

Wypoczywa w nim wprawdzie fizycznie, lecz moralnie znosi srogie udręczenie. Po ujechaniu paru kilometrów, poznaje od razu, że spóźnić się musi. Pomimo sutego wynagrodzenia, przyrzeczonego stangretowi za pospieszną jazdę, spostrzega co chwilę, że dzielna para jego andaluzyjskich mierzynów, zmęczona widocznie licznymi, w ciągu dnia odbytymi kursami, zmienia niemal nieustannie rażnego kłusa na powolnego, sennego stępa. Wzrastająca ciągle niecierpliwość rozstraja jej nerwy.

Powóz zatrzymuje się nareszcie przed dworcem kolei, lecz dopiero o wpół do drugiej po północy, to jest w kwadrans po odejściu pospiesznego pociągu, który, na parę godzin przed wypłynięciem Atalanty z portu, mógł przybyć do Marsylii. Trzeba czekać na pociąg następny, wychodzący ze stacyi o godzinie piątej rano, ten zaś stanie na miejscu dopiero o godzinie pierwszej po południu.

— Boże! a okręt o pierwszej popołudniu wypływa już z portu! — jęknęła Zofia.

Rozpacz ją ogarnia.

Cała drżąca biegnie do biura urzędu kolejowego po informacye. Zwraca się do jednego z młodszych urzędników, kłania mu się bardzo grzecznie i pyta:

— Chciej mi pan z łaski swej powiedzieć, czy statki parowe, idące do Algieru, wyruszają z portu w Marsylii o ściśle oznaczonych godzinach, bez opóźnienia?

— Jak czasem piękna pani — odpowiada zagadnięty. W pogodę wychodzą równie punktualnie jak pociągi na kolejach żelaznych, jeśli jednak morze wzburzone, jak dziś naprzykład...

— A! więc morze dziś wzburzone! — szepnęła Zofia z radością.

— Tak. Wcale silny mistral dmie od świtu. Sądzę, że nie uspokoi się prędko.

Zofia błogosławi w duchu mistralowi, który może opóźnić wypłynięcie Atalanty z portu choćby tylko o godzinę. Oczekując na pociąg, wciąż jeszcze niespokojna i rozstrojona, błądzi po wszystkich ubikacyach dworca. Co chwila wybiega na peron i przysłuchuje się szumowi morza. Szum ten wydaje się jej groźnym. Wyobraża sobie, że burza już się zrywa i z urojenia, które wkrótce zamienić się może w rzeczywistość, wyciąga następujący wniosek:

— Kapitan w tak strasznę niepogodę nie zechce narażać okrętu na rozbicie i utopienie... więc statek nie wypłynie prawdopodobnie wcześniej jak jutro rano...

Tymczasem służba kolejowa sprzęga wagony i przygotowuje pociąg do drogi.

Zofia idzie przyjrzeć się lokomotywie, która sapiąc i gwiżdżąc wtacza się po szynach powoli i zajmuje w szeregu połączonych już wozów miejsce naczelne. Młoda kobieta zbliża się do palacza, który zeskoczył na peron, i pyta go z dziecinną niemal naiwnością:

— Czy ten pociąg przypadkiem nie przychodzi czasem wcześniej do Marsylii, niż o godzinie pierwszej?

— O, moja panienko — odpowiada umorusany węglem robotnik, śmiejąc się na całe gardło — takiego zdrożnego zwyczaju nie miewają nasze pociągi na południowych kolejach żelaznych!

— Wszakże jednak przybędzie punktualnie o oznaczonej godzinie, nieprawdaż? — szepcze Zofia tonem błagalnym.

Zmieszana głośną wesołością palacza wsuwa mu w rękę złotą monetę.

Bezcelowe kręcenie się z kąta w kąt coraz bardziej ją rozdrażnia, więc zniecierpliwiona i gorączkująca wsiada do damskiego przedziału. Po niejakimś czasie niepokój wewnętrzny i znużenie obezwładniają ją zupełnie. Opiera głowę o małą poduszkę, zawieszoną na sznurze w rogu wagonu. Oczy kleją się jej mimowoli, chociaż co moment usiłuje je otworzyć i patrzeć na peron... Powieki, jakby ołowiane, cięża coraz bardziej i przymykają coraz szczelniej... Nareszcie usypia.

Wtem, w chwili właśnie, gdy pociąg ruszył z miejsca, jakiś człowiek — nie bacząc na krzyki i pogróżki służby kolejowej i naczelnika stacyi — wskoczył na stopnie jednego z wozów, otworzył nie zamknięte na klucz drzwiczki i przebiegł korytarz, ciągnący się wzdłuż przedziałów aż do wagonu dla kobiet. Spojrzał do jego wnętrza, zobaczył Zofię śpiącą i cofnął się natychmiast. Poczem ostrożnie i po cichu wszedł na palcach do sąsiedniego przedziału, zasuwając za sobą drzwi bez hałasu i zasłaniając w nich okno firanką.

Był to baron Korf, jak zawsze przedsiębiorczy i gwałtowny, lecz panujący nad swą gwałtownością, chociaż wściekły gniew i nieopisana boleść rozsadzały mu łono.

Zaraz po przybyciu do willi, rozpoczął poszukiwania. Naprzód pobiegł w dolinę Sospel, zaglądając wszędzie, gdzie przypuszczał, że Zofia może się ukrywać. Nie znalazłszy jej nigdzie, wrócił do Castillon. Od spotkanego oberżysty dowiedział się, że poszła pieszo do Mentony. Najął konie, które w tej chwili właśnie wróciły, i popędził za nią bitym gościńcem.

Postanowił śledzić żonę tajemnie i w pewnej odległości, chciał bowiem stwierdzić dowodnie czyjej powierzy się opiece i gdzie znajdzie schronienie. W ten sposób goniąc i ukrywając się nieustannie, dotarł do Nizzy nigdzie przez nią nie dostrzeżony.

Na dworcu w Marsylii zatrzymano go czas jakiś, musiał bowiem opłacić cenę biletu za przestrzeń przejechaną koleją. Uiszczenie należności zajęło kilkanaście minut. Tymczasem Zofia, nie posiadająca z sobą żadnych bagaży, szybko wybiegła na plac przed dworcem i wsiadła do jednego ze stojących tam fiakrów.

— Do portu! — zawołała zdyszana, drżącym od wzruszenia głosem. Prędko! prędko! Dam sto franków, jeśli na czas przybędę.

— Do portu? — zapytał stangret. — Ależ port duży, moja panienko. Muszę wiedzieć, w którą stronę mam podążyć.

— Do przystani... tam, gdzie zatrzymują się zwykle statki, kursujące między Francyą a Afryką.

— Jeśli panienka chce dziś odjechać, to zdaje mi się, że już za późno...

— Jedźcie!... na miłość Boską, jedźcie czemprędzej!

Powóz ruszył i z niezwykłą na fiakra francuskiego szybkością potoczył się po szerokich i długich, zapełnionych tłumami ludzi ulicach, wiodących do portu.

Przy wjeździe w okręg celny, wózek ręczny, naładowany towarami, zagrodził koniom drogę.

— Gdzie jest przystań, kędy stoi Atalanta? — zapytała Zofia jednego z celników.

Ten poważnie i flegmatycznie, jak Niemiec jaki, lub Holender, wyciągnął zegarek z kieszonki od kamizelki, spojrzał nań i wreszcie powiedział uroczyście:

— Atalanta, proszę pani, musi już być na pełnem morzu... Powiem jednak szczerze, że nie słyszałem jeszcze pożegnalnego śpiewu jej syreny... Bądź co bądź — rzekł, zwracając się do stangreta — jedźcie prosto!

Cofnięto przeszkodę, tamującą komunikacyę, a powóz ruszył dalej.

Zofia powstała z siedzenia i nerwowo skurczonemi rękami oparta o kozioł, starała się rozpoznać Atalantę wpośród mnóstwa większych i mniejszych statków parowych, stojących w rzędzie.

— Czy to ten? — pytała Zofia, wskazując jeden.

— Nie, nie! moja panienko — odparł stangret, podcinając biczykiem konie. — Znam statek wybornie, widziałem go nieraz. Skoro tylko dostrzegę, wnet go panience wskażę.

Ale po chwili odwrócił się, spojrzał na Zofię z politowaniem i rzekł głosem, w którym dźwięczała nuta zawodu i rozczarowania:

— Oho, bądź zdrów!... Czy panienka słyszy? To jego syrena gwiżdże!

— Odpływa?! — zachwiawszy się na nogach, szepnęła Zofia boleśnie.

— Ba! Już przeszło godzina, jak powinien być na morzu... tylko widocznie szalenie rozbujane fale przeszkadzały do wniesienia na pokład bagaży pasażerskich... A musiał ich zabierać dziś niemało!

— Zobaczyć go chcę!... choćby tylko zobaczyć!

— To niech panienka wysiądzie i temi oto schodkami wejdzie na groblę, po której duchem przelecieć trzeba aż do samego jej końca. Jeśli panience uda się dobiegnąć na czas, to Atalanta przepłynie tuż koło panienki... tuż, tuż przed jej oczami...

Zofia wyskoczyła z powozu i jednym susem dopadłszy schodków, wspinać się po nich zaczęła. Pośliznęła się na ostatnim stopniu i omal nie upadła. Tu zatrzymała się parę sekund, żeby odetchnąć, bo rozszalałe morze tłukło olbrzymimi bałwanami w nasyp z gruzu, żwiru i kamieni, rozpryskując się w okół i siekąc, jakby deszczem kroplistym. Podmuch zaś mistralu był tak silny, że młoda kobieta, żeby nie zlecieć na dół, musiała uchwycić się żelaznego kółka, zwieszającego się na łańcuchu z ciosowej baryery, ogradzającej dwustronnie groblę. Oprzytomniawszy jednak nieco, wsłuchana w przeraźliwy odgłos gwiżdżącej syreny, ruszyła naprzód...

Wkrótce, w odległości jakich stu metrów przed sobą, ujrzała okręt majestatycznie szybujący po względnie spokojnych wodach portu. Wtedy pobiegła jak szalona, z wyciągniętemi rękami, wołając:

— Zygmunt!... Zygmuncie!

Lecz w tej chwili właśnie, steamer szybkiem poruszeniem wypłynął na pełne morze i nagle zniknął na moment w otaczającej go chmurze białej kurzawy wodnej. Jednakże Zofia dostrzegła Zygmunta, opartego o balustradę na tyle statku. Widocznie inni pasażerowie zeszli do wnętrza, bo stał sam jeden, twarzą zwrócony ku posągowi *Notre Dame de la Garde*.

— Zygmuncie! — krzyknęła jeszcze Zofia.

Jakże ją miał usłyszeć wśród przeraźliwej wrzawy, jaką wyprawiał żywioł rozpętany?

Zresztą, właśnie wtedy, gdy krzyk boleści wyrywał się z piersi nieszczęśliwej, głęboka przepaść rozwarła się w morzu przed posuwającym się siłą pary statkiem, który zanurzył się w niej niemal prostopadle całym przodem, stercząc nad zbałwanionemi wodami tylko swym tylnym kadłubem. Potężna fala, która to sprawiła, wstrząsnąwszy okrętem, jak marną łodzią rybacką, popędziła ku lądowi i uderzyła w groblę. Ukoronowana białą pianą, spiętrzyła się nad nią niby rumak fantastyczny, wspinający się na górę, i z hukiem, podobnym do grzmotu stu dział, rozlała się po tamie kamiennej.

Tu jeszcze moc uderzenia była tak wielką, że przewróciła Zofię, zapatrzoną w dal morską i nie pojmującą, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje, roiła bowiem, że dusza jej, wyswobodzona z więzów ciała, leci za znikającym na krańcach widnokręgu statkiem. Młoda kobieta, jak drzewo, u pnia podcięte, padła na mokry żwir, pokrywający groblę. Chciała się podnieść, lecz nadaremnie... Siły ją opuściły. Usta, zsiniałe od chłodu, szeptały niewyraźnie imię ukochanego... Uczuła bolesne ściśnienie serca... Zemdlała.

W kilka minut potem, Korf — który już bez wielkiego trudu gonił jej śladami, wskazywanymi mu po drodze: naprzód przez urzędników i tragarzy na kolei, następnie przez parobków z cła i stangreta, który z dworca przywiózł Zofię do portu — zastał ją leżącą na wznak, bladą jak trup, zdrętwiałą, prawie martwą, w odzieży zlanej wodą. Odprawił grzecznie paru celników, którzy za nim na nasyp przybiegli, pragnąc trzeźwić omdlałą; sam wziął żonę w ramiona i zaniósł do powozu, którym przyjechał.

. . . .

Zofia przebudziła się w ciepłym pokoju hotelowym, na łóżku, rozebrana i przykryta kilku kołdrami. Czuła, że jej stopy nagie dotykają naczyń szklanych, owiniętych flanelą i napełnionych wrzącą wodą. Przed nią, na kominku marmurowym, palił się ogień, buchający czerwonymi i błękitnymi płomieniami z żarzących lub rozsypujących się w popiół wielkich szczap drzewa. Pomimo gorąca, jakiem dyszał komin, ona trzęsła się od zimna, przejmującego dreszczem jej zlodowaciałe ciało. Wrażenie zimna trwało jednak krótko... Przyszła gorączka, a z nią hallucynacye senne.

Śniła, że okręt, na którym płynie Zygmunt, pogrąża się w morską otchłań bezdenną, a ona, wisząca kędyś wysoko w chmurach — jak ptak kołyszący się na skrzydłach — widzi to i błaga Boga, żeby i ją utopił w przepaściach wodnych wraz z ukochanym. Bóg się nad nią ulitował. Spada z chmur w morze i tonie... i tonie... Słona fala zalewa jej usta i gardło, dławi... dławi. Chce odetchnąć... nie może!

Przebudziła się znowu.

Oddycha swobodnie. Więc gorączka minęła, a z nią sny okropne... męczące. Słyszy rozmowę prowadzoną półgłosem. Podnosi nieco głowę z poduszek i widzi dwóch starszych panów, wyglądających poważnie, których baron przeprowadza do drzwi i pyta:

— Niema zatem żadnego niebezpieczeństwa?

— Żadnego — odpowiada jeden.

— Chwilowe wzruszenie... wicher... chłód — mówi drugi. — Bańki z wrzącą wodą, ustawione w nogach, i ogień na kominku usuną przeziębienie. Złych skutków nie przewiduję wcale.

— Niech się prześpi spokojnie — dodaje pierwszy.

— Gdy się zbudzi, strzedz się należy nowych, jakichkolwiek bądź wzruszeń — dorzuca drugi.

Korf, z uprzejmością, właściwą ludziom, należącym do wykwintnego świata, kłania się i dziękuje obu lekarzom. Dla usprawiedliwienia niezwykłej sytuacyi, która może się im wydać podejrzaną i dwuznaczną, chociaż sam nic i niczego się jeszcze nie domyśla, opowiada na prędce ułożoną historyjkę, którą wyjaśnić pragnie cel nierozważnej w czasie burzy wyprawy do portu.

— Grono najbliższych naszych przyjaciół, opuszczających Francyę na czas dłuższy, zawiadomiło nas telegraficznie, że odjeżdża dziś z Marsylii na pokładzie A t a l a n t y. Chcieliśmy ich pożegnać... niestety, pociąg nasz spóźnił się o całą godzinę. Nie zastaliśmy już nikogo w hotelu... więc udaliśmy się wraz z żoną do portu. Tu nowy zawód nas spotkał, statek bowiem przed chwilą ruszył w drogę. Zdawało się nam, że będziemy mogli dostrzedz ich z grobli...

— To była wielka nieostrożność z pańskiej strony, ze względu na dzisiejszy czas szkaradny, na wicher i wzburzenie morza...

Po kilku banalnych frazesach, wygłoszonych jeszcze o tymże samym przedmiocie i w podobnym do powyższego tonie, doktorowie wyszli po cichu z pokoju.

Korf, zatrzymał się dość długo przy drzwiach, patrząc na łóżko, do którego nie śmiał się zbliżyć. W piersi jego ścierały się sprzeczne uczucia. Dławił go gniew i oburzenie na myśl o upokarzającej roli, jaką odegrał w dniu dzisiejszym i równocześnie łamał sobie głowę nad odgadnięciem celu tajemniczej ucieczki żony, z której nie umiał zdać sobie sprawy. Śledził ją przecież od wczoraj i czuwał nad nią nieustannie, a nic zdrożnego w całem jej zachowaniu się dopatrzeć nie mógł. Przypuszczał, że aby wyrwać się z pod jego władzy, pragnęła odpłynąć na A t a l a n c i e — bo wiedział, że o statek tego nazwania wypytywała wszystkich po drodze — lecz dokąd i do kogo? Kochanek jej nie żyje od dawna; zginął zabity przez Wielohradzkich w Sielance pod Warszawą. Nie zna zaś nikogo, komuby się powierzyć mogła. A przytem, wszakże on odnalazłby ją, choćby na końcu świata! Ona wie o tem dobrze. Nad krzyżującemi się w jego mózgu dokuczliwemi myślami i dokuczliwszemi jeszcze wątpliwościami, dominowała jednak niepodzielnie niezaspokojona, płomienna namiętność. Pragnął posiąść Zofię za jakąbądź cenę, choćby kosztem swego i jej życia, a rozszalała żądza zaślepiała wytrawnego życiowego gracza i mieszała mu zmysły. Chwiał się na nogach, jak pijany; gorzał całem ciałem, szarpany dziwnym jakimś niepokojem, czy przeczuciem. Ona zmrużyła oczy i udawała śpiącą, bo pojmowała całą siłę grożącego jej niebezpieczeństwa. Chciała stawić mu czoło, chciała się bronić, lecz znużenie i osłabienie nie pozwalało tworzyć pomysłów i planów walki i obrony.

Przy kominku, na nizkim taburecie siedziała służąca hotelowa. Korf spojrzał na nią i gorączkowym gestem kazał jej wyjść z pokoju.

— Lecz gdyby pani mnie potrzebowała? — zagadnęła.

— Proszę zatrzymać się na kurytarzu... Jeśli pani potrzebować będzie, zawołam.

Służąca wysunęła się z numeru na palcach.

Wtedy on, krocząc ostrożnie po miękkim i puszystym dywanie, przystąpił do łóżka. Zofia, pomimo zamkniętych oczu czuła, że się zbliża. Machinalnie przycisnęła kołdrę do piersi... Rozumiała, że już nic i nikt jej nie obroni, że ten człowiek pokonać ją musi, pragnęła więc tylko, choćby na krótki czas jakiś, oddalić moment jego zwycięstwa.



W odległości jakich stu metrów przed sobą ujrzała okręt majestatycznie szybujący po falach portu.

Korf stał przy łóżku nieruchomy, wpatrując się w bladą prześliczną twarzyczkę żony. Poczem pochylił się i złożył na jej chłodnem, jak lód czole, ciężki, gorący pocałunek.

Ona drgnęła.

— Nie śpisz? — zapytał.

Rozwarła powieki i zawołała:

— Oddaj mi córkę!

— Mieć ją będziesz, gdy siebie oddasz ubóstwiającemu cię mężowi.

— Wiem, że uledz muszę... więc ulegnę — szepnęła z mocą — lecz nie tu... Nie tu, pod żadnym pozorem!... Muszę naprzód ujrzeć moje dziecko...

— Ujrzysz je w Castillon, gdy powrócimy do naszej willi... Czy chcesz?... czy możesz jechać? Dziś jeszcze pojedziemy...

— Chcę i mogę... Jedźmy! Gdy córkę odbiorę, będę twoją...

— Przysięgasz?

— Przysięgam!... Lecz i ty przysięgnij, że mnie nie zwodzisz... że już nigdy Janinki mi nie wykradniesz. Rozumiesz? nigdy... nigdy!

— Przysięgam — rzekł Korf poważnie, wznosząc rękę w górę, jakby nagle ochłodzony stanowczym głosem i surowym, błyszczącym jak stal wyrazem jej oczu.

— Dobrze!.. Przywołaj służącą, a sam wyjdź z pokoju... Ubiorę się, poczem pojedziemy.

Baron spełnił żwawo rozkaz żony, ton bowiem, jakim przemówiła, brzmiał wprost rozkazująco. W ustach jej wydał mu się on niezwykłym i nowym. Słodka gołębica, jakby pod wpływem budzącego się w niej atawizmu krwi błękitnej, przeobraziła ją nagle w despotyczną królowę, a zmiana ta, pełna godności, promieniejącej z jej jasnego czoła, chociaż zdziwiła Korfa, zachwyciła go równocześnie.

Nie czarem zmysłowym, lecz szlachetniejszym jakimś urokiem owładnięty, wyszedł upojony, rozkochany, znowu pokorny i posłuszny sługa istoty słabej i bezbronnej, lecz silniejszej od niego rasą i duchem. Pokonana, stała się nagle jego panią — a on jej niewolnikiem.

Zofia jednak, wyczerpana z sił fizycznych i wewnętrznie złamana, ubierając się pospiesznie, zemdlała.

Trzeba było dni kilka zatrzymać się w Marsylii. Suto przez barona wynagradzani lekarze odwiedzali chorą codziennie, twierdząc nieustannie, że stan zdrowia pacyentki nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, radzili jednak nie spieszyć się z wyjazdem, dłuższy bowiem odpoczynek w klimacie południowego miasta może wpłynąć dodatnio na wzmocnienie jej organizmu, zwłaszcza, że cudna pogoda, która w niem zapanowała po burzy, zapowiada zbliżenie się ciepłej wiosny.

W rzeczy samej organizm Zofii nie potrzebował sztucznego wzmocnienia lekami i powietrzem. Ona jedna rozumiała, że nie materyalne mankamenty ciała, lecz niepokój, gryzący duszę, dręczy ją i do rozpaczy doprowadza, chociaż torturującą jej jaźń męczarnie moralne zamykała głęboko w łonie, nie zdradzając usposobienia swego ani przed mężem, ani przed otaczającymi ją obcymi ludźmi.

To wszystko, co uczyniła w nagłem i niemal bezwiednem uniesieniu, jakie ją ogarnęło po odczytaniu listu Zygmunta, uważała dziś za grzech ciężki, niczem nie usprawiedliwiony. Bądź co bądź, chociaż nie kochała Korfa, była jego żoną. Wszakże przed ołtarzem przysięgła mu wierność dozgonną; wszakże zapewniała go słowem uczciwej kobiety, że jej nigdy nie złamie. Nadto, zdeptała lekkomyślnie święte obowiązki matki. Pod wpływem rozbudzonych w sercu i wyobraźni na wpół tylko idealnych wspomnień miłosnych z panieńskich czasów, zapomniała o swem dziecku, nie bacząc jak srogą krzywdę wyrządza przez to Janince dziś i na przyszłość. Wszakże tylko przez poświęcenie się bezwzględne, może córce zapewnić szczęście, którego dla siebie już pragnąć nie ma prawa.

Niespodzianie, w chwili właśnie, gdy dręczona wyrzutami sumienia martwiła się najbardziej, a to zmartwienie wycieńczało ją i sił pozbawiało, zatrzymał się w przejeździe przez Marsylię w tymże samym hotelu sędziwy wiekiem ksiądz-zakonnik, Polak, wysłany przez swoją kongregacyę jako misyonarz do Afryki. Łatwo poznała w nim współziomka. Po krótkiej rozmowie w sali *table d'hôte* przy wspólnym obiedzie, uprosiła go, aby ją nazajutrz wyspowiadał w jednym z miejscowych kościołów. Zacny kapłan chętnie zgodził się na jej pobożne żądanie. Po długiej, blizko godzinnej spowiedzi, przystąpiła do stołu pańskiego, poczem znaczną część dnia spędziła na modłach w starej świątyni.

Pokrzepiona na duchu i niemal zupełnie pogodzona z losem, z twarzą na której malowała się dobroć anielska, rzekła do męża po powrocie z kościoła:

— Możemy jechać. Gotowa jestem zupełnie do drogi.

W pół godziny potem, w jednym z wagonów pospiesznego pociągu na południowej kolei żelaz-

nej zdążali oboje do Mentony, skąd końmi udać się mieli do Castillon. Baron, w ciągu podróży, zawiadomił Zofię o śmierci Dulskiej i o olbrzymiej sukcesyi, która po niej na nią spadła. Ona, po krótkiem milczeniu, w czasie którego prawdopodobnie w myśli prosiła Boga o „wieczny odpoczynek“ dla zmarłej, powiedziała, zwracając się do Korfa:

— Chociaż spadek po ciotce uważam za majątek Janinki, jednakże, jako jedyna jej opiekunka, oddam ci w imieniu mojej nieletniej córki całą sumę, którą pożyczyłeś niegdyś jej dziadkowi, a memu ojcu.

Baron żachnął się — i gestem wyrażającym niezadowolenie chciał zapewnić, że zwrotu nie żąda, a pieniędzy nie przyjmie, gdy ona — nie dając mu przyjść do słowa — szepnęła z ujmującym uśmiechem:

— Nie sprzeciwiaj się. Płacę dług honorowy... Odbierając, co ci się słusznie należy, sprawisz mi wielką radość, a sam chyba także ucieszysz się, myśląc... że masz teraz niekupioną żonę.

Epilog.

Powrotowi Korfów, z Mentony do Castillon, sprzyjała śliczna pogoda.

Niebo lśniło jasnym, bezchmurnym, turkusowym błękitem; morze, nieco zmarszczone drobnemi falami, nęciło wzrok głęboką w tonie barwą płynnego szafiru; skały, skąpane w blaskach słonecznych, świeciły jak złoto. Czar jednak cudnych widoków, którymi zwykle zachwycała się Zofia, tym razem nie wywierał na nią wrażenia. Nie zwracała prawie na nie uwagi, a gościniec, wijący się zygzakiem, wydawał się jej nieskończenie długi, pragnęła bowiem przedewszystkiem jak najspieszniej ujrzeć i ucałować Janinkę.

Pod wieczór, niemal o zmroku, po kilkudziesięciu karkołomnych zakrętach w prawo i w lewo, wlekący się powoli powóz zatrzymał się nareszcie zahamowany przez woźnicę przed białą willą, wyzierającą zalotnie z pośród drzew cytrynowych, laurów i eukaliptusów, tworzących gęsty gaik za sztachetami z żelaza i bramą żelazną. Zaledwie oboje wysiedli przed nią, Zofia zawołała:

— Chodźmy razem po dziecko, bo sama nie trafię.

— Zaczekaj... odpocznij — rzekł baron — jesteś jeszcze osłabiona i znużona podróżą. Do chaty ojca Tomasza dość daleko, a gdzie niegdzie ścieżki niezupełnie bezpieczne, zwłaszcza dla ciebie, nie znającej miejscowości. Za pół godziny ściemni się całkowicie, po ciemku zaś trzeba w tutejszych górach umieć stąpać ostrożnie, bo z pod niezbyt silnej i z wahaniem postawionej stopy, kamienie usuwają się łatwo, a przepaści nie brak wokoło.

— Tembardziej powinnabym pójść z tobą, żeby czuwać nad córką.

— Czuwać nad nią będzie moja matka, która ci ją przyniesie. Chciej wierzyć, że kocha Janinkę równie jak ty gorąco... No, lecę ją zawiadomić, że czekasz z niecierpliwością na swój skarb najdroższy.

— Tak, tak, z wielką niecierpliwością — powtórzyła Zofia.

Potem dodała:

— Słuchaj! żeby was, idących ku mnie, dostrzedz z daleka i jak najprędzej, siądę na platformie, z której widać całą dolinę Sospel...

— Zgoda!... a do platformy sam cię podprowadzę.

To mówiąc podał ramię żonie. Ona, wsparta na niem, szła pod górę śmiało i żwawo. Na płaskowzgórzu, baron posłał jednego z kręcących się tam i wywracających koziołki malców po krzesło do willi, a gdy chłopak je przyniósł, usadowił na niem Zofię wygodnie, ucałował jej ręce z czcią najgłębszą, sam zaś promieniejący niewymowną radością, zbiegł w dolinę.

Od czasu do czasu oglądał się za siebie, jakby widok ukochanej dodawał mu bodźca do pośpiechu. Po niejakimś czasie, z pochylającej się coraz prostopadlej ścieżki, skręcił na prawo i znikł z oczu, patrzącej za nim żony, w skalistym parowie.

— Nie przypuszczałam — myślała Zofia — aby na tak dzikiem i ustronnem zboczu mogło stać ludzkie mieszkanie, więc gdybym nawet tu Janinki szukała, nigdybym jej nie znalazła.

Po jasnym i ciepłym dniu przyszła noc chmurna i chłodna.

Młoda kobieta uczuła zimny dreszcz przejmujący jej ciało. Owinęła się szkockim szalem, który dotąd wisiał na niej tylko, przerzucony przez ramię — i czekała. Była zupełnie sama, bo nawet uwijająca się tu przed chwilą gromadka chłopców, bawiących się wesoło, rozpierzchła się nagle, jak stado wróbli, spłoszonych przez jastrzębia. O godzinie dziewiątej, którą prawdopodobnie głód w ich żołądkach wydzwonił, Castillon bowiem nie miało wieżowego zegara, pospieszyła do wyżej położonych domków i lepianek swoich rodziców lub krewnych, gdzie na nich czekała wieczerza. W oknach i drzwiach tychże samych domków i lepianek, uszykowanych w zwartym szeregu, jak komórki w plastrze przez pszczoły ulepionym z wosku — zamigotały i zaczerwieniły się nagle ogniska, rzucające nieco światła, lecz tylko niedaleko, na szczyt góry — bo poniżej, platforma tonęła w niemal zupełnej ciemności, a niżej jeszcze: ścianę nad doliną i dolinę pokryła jakby czarna opona gęstej mgły skłębionej, pod którą nawet kształtów skał najbliższych nie podobna było rozróżnić.

Przykre uczucie lęku i niepokoju, z którego nie mogła zdać sobie sprawy, owładnęło sercem Zofii. Oczekiwanie wydało się jej zbyt długie. Już chciała powstać z krzesła i nie bacząc na ciemności udać się naprzeciw oczekiwanych, gdy w głębi czarnej otchłani, tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa otwierała się skalista gardziel parowu — w którym według opowiadania Korfa stać miała murowana chata ojca Tomasza, ukrywająca Janinkę — błysło jakieś nikłe, kołyszące się światełko, które, jak błędny ognik, poruszać się zdawało i zbliżać do Castillon po ścieżce, wznoszącej się w górę.

W rzeczy samej była to o jednej świeczce latarnia stajenna, niesiona przez mamkę, za którą powoli i ostrożnie postępowała Rutkowska, dźwigająca dziecinę w poduszkach. Dopiero, gdy się zbliżyły na odległość stóp kilkudziesięciu, domyśliła się Zofia, po znanym sobie odgłosie kroków, że to one. Klasnęła w dłonie i chciała ku nim poskoczyć, lecz staruszka — bystremi oczami przenikająca mgłę czarną, górom tym właściwą — krzyknęła donośnym głosem:

— Zaczekaj! zaczekaj Zosiu! Nie ruszaj się z miejsca... Oddam ci zaraz zdrową i wesołą córuchnę...

W parę minut potem Zofia pieściła rozbudzone i uśmiechające się niemowlę, przyciskając je do macierzyńskiej piersi i okrywając rączki i buzię tysiącznymi pocałunkami. Radość jej nie miała granic. Szeptała w zachwycie, przypatrując się swemu dziecku przy świetle wzniesionej w górę przez mamkę latarni:

— Jaka ona śliczna! jaka śliczna! piękniejsza zdaje się niż dawniej!

— Wszakże mi przebaczasz i nie masz do mnie żalu? — drżącym głosem pytała Rutkowska. Spełniłam rozkaz syna, bo się go obawiam... bo lękałam się jego gniewu i gwałtowności. Przytem wolałam sama czuwać nad Janinką, aniżeli... Kto wie, czy nie oddałby jej w obce, jakieś niedobre ręce, a ja ją tak kocham... tak kocham! O nią mi chodziło i o ciebie także, bo jesteś jej matką... Czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem droga mamo — odparła Zofia z dobrocią, ściskając serdecznie spracowane ręce świekry.

To szczere i pełne prostoty przebaczenie wycisnęło z oczu starej kobiety łzy wdzięczności.

— Dziękuję ci, dziękuję — szeptała wzruszona. Zjednałaś go sobie widocznie, bo obecnie znowu cię ubóstwia. Mówił mi o tobie z zachwytem, z uwielbieniem.. Powiedział, że dziś właśnie czeka go największe szczęście w życiu, o którem marzył od roku... Nie przyszedł z nami, bo zatrzymał się w chacie ojca Tomasza, żeby mu wypłacić resztę należności, lecz przyjdzie wkrótce... Zapewniał, że pilno mu zobaczyć żonę, cieszącą się odzyskaniem córki... Dziwi mnie nawet, że dotąd go jeszcze nie widać...

Wtem, w dolinie, rozległ się odgłos pastuszej trąby drewnianej, rozbrzmiewającej tonem żałosnym.

— Boże! co to znaczy? — zawołała Rutkowska. — W ten sposób trąbią nasi wieśniacy tylko w razie groźnego wypadku... Tak ciemno! Tak okropnie ciemno!... Czy synowi memu nie stało się coś złego?... Chociaż zna wybornie całą naszą okolicę, lecz po górach w nocy oddawna nie chodził... od owego strasznego dnia, w którym...

Zamilkła, kładąc z widoczną trwogą na czole i piersi znak krzyża świętego.

Dźwięk trąby, jęczącej w ciszy nocnej przeraźliwie, wywołał mieszkańców wioski z ich domów i lepianek. Wysypali się niemal wszyscy na ulicę: mężczyźni, kobiety i dzieci. Młodzi zaś parobcy, rozumiejący, co oznacza żałośliwe trąbienie, pochwycili wnet zapalone pochodnie z rąk sióstr, żon i matek i przebiegli żwawo platformę; poczem jeden po drugim spuszczać się zaczęli ostrożnie po krętej ścieżce w dolinę. Zapanowała przez moment głośna wrzawa zmieszanych krzyków i wzajemnych nawoływań po imieniu i nazwisku, połączona z głuchem tętnieniem ciężkich kroków, odbijającem się przeciągłem echem o skały.

— Co to jest? co to jest? — pytała Zofia, przejęta obawą.

Odpowiedział jej ostatni z wieśniaków, podążający za innymi:

— Ojciec Tomasz wzywa nas pani baronowo na ratunek. Poznaliśmy głos jego trąby. Prawdopodobnie jakiś podróżujący cudzoziemiec, nie znający drogi, zbłądził w górach i zleciał w przepaść... Idziemy go szukać i jeśli nie zabił się, ocalić od śmierci.

U stóp góry, na której stała Zofia z Rutkowską i mamką — tulącą do łona wzięte z rąk swej pani rozpłakane dziecko — w czarnej otchłani, migotały teraz krzyżujące się w różnych kierunkach płomienie pochodni. Po niejakimś czasie zniknęły wszystkie, jakby nagle zapadły w ziemię, a może skryły się w wązkiej szyi skalistego parowu. Nastała cisza grobowa. Janinka nawet, uśpiona pieszczotą, płakać przestała.

Cisza trwała długo — nazbyt długo dla serc dwu kobiet, oczekujących w trwodze na rezultat poszukiwań.

Minęła godzina... W głębi doliny zabłysły znowu pochodnie, lecz tym razem już nie rozpierzchłe i nie rozbiegające się po stokach i zboczach, tylko zszeregowane — jakby w żałobnym pochodzie — przed i za dwoma rosłymi chłopami, niosącymi czyjeś bezwładne ciało.

Rutkowska pierwsza je spostrzegła i padła na kolana, wznosząc w górę wyciągnięte ramiona. Usta jej poruszały się, głos jednak nie wydobywał się z nich wcale. Modliła się jakąś wewnętrzną, pełną cichej rozpaczy modlitwą. Po jej opalonej od słońca twarzy, pokrytej gęstą siecią zmarszczek, spływały łzy rzęsiste. Gdy pierwsza gromada parobków, oświetlających ścieżkę pochodniami, weszła na platformę, zapytała zdławionym, chrypliwym głosem:

— Czy żyje?

Nie otrzymała odpowiedzi.

Po chwili, ci co nieśli broczące krwią ciał[illegible] Korfa, położyli je u nóg staruszki. Rzuciła się n[illegible] nie i zaczęła je okrywać gorącymi pocałunkam[illegible] Potem, podniósłszy głowę i potoczywszy wok[illegible] błędnym wzrokiem, szepnęła:

— Przeczuwałam, że kara go nie minie... [illegible] wymierzył mu sprawiedliwość... a karząc [illegible] i matkę ukarał. Sama pozostałam na ziem[illegible]

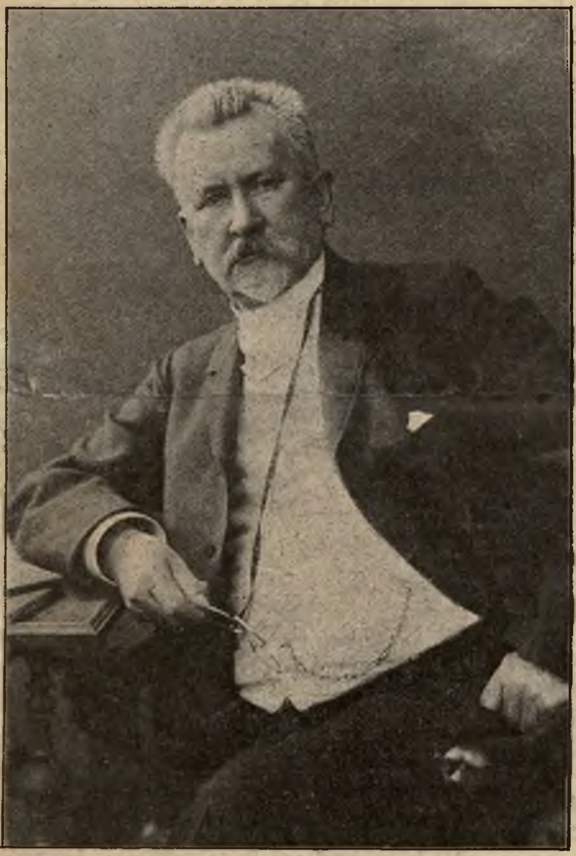
Zofia wtedy, jak trup blada i drżąca, przyklęknąwszy przy niej, objęła nieszczęśliwą ramieniem i rzekła:

— Masz we mnie kochającą córkę... i tę małą, którą ukochałaś. Nie opuścimy cię nigdy... nigdy!

KONIEC.

Teatr polski w Poznaniu.

Jak wiadomo teatr polski w Poznaniu ma bardzo ciężkie zadanie, musząc walczyć z ciągłemi trudnościami ze strony Niemców i nie mając należytego ze strony rodaków poparcia. A przecież



Teatr polski w Poznaniu: Dyrektor Michał Więckowski, członek Rady nadzorczej teatru.

kulturalne znaczenie teatru jest bardzo wielkie, jest on niejako najważniejszą placówką narodową, wystawioną na ataki wrogów narodowości polskiej, boć żywe słowo, padające ze sceny, to najlepszy sposób podtrzymania ducha narodowego.

Dotychczas działalność nowego dyrektora teatru p. Andrzeja Lelewicza, może już poniekąd dać wyobrażenie, jaki teatr mieć będzie obecnie Poznań. To, co widziano dotąd na scenie, nietylko ziściło oczekiwania, ale je nawet przewyższyło. Część muzykalno wokalna zadowolniła nawet najwybredniejszych melomanów, gra artystów znalazła najwyższe uznanie u bywalców teatralnych i prasy. Orkiestra, choć złożona tylko z 24 członków, pod dzielną batutą kapelmistrzów Langera i Lehrera, wywiązuje się znakomicie ze swego zadania, co mieliśmy sposobność skonstatować przy okazyi wystawienia pierwszego aktu „Halki“ i „Słodkiej dziewczyny“. Doskonały zespół w grze, dobrze wyszkolone chóry, a co najważniejsza, trzymanie się taktu, dają poznać doświadczoną rękę kierownictwa. Znamy zresztą Lelewicza z galicyjskich występów i kierownictwa operetki lwowskiej — więc chwalić go nie potrzeba.

Z pomiędzy artystek i artystów opery i operetki wspomnieć należy z uznaniem Szlezyngier, Krakowiankę, która wstępnym bojem zdobyła sobie sympatyę Poznańczyków, panie Floriani-Zbierzchowską, ...len i Kopaczewską, oraz panów Sawi...go, Russie, Kopczyńskiego, Foltygę, ...ańskiego, Kosińskiego i Recheńskiego.

Dramat i komedya obsadzone są również bardzo odpowiednio. Widzimy tu nazwiska naszych galicyjskich znajomych i nowe siły, które wybijają się widocznie i rokują najpiękniejsze nadzieje na przyszłość. Kliszewski, Andruszewski, Junosza, Czaki, Kęcki, Czerniak, Ruszczyc, Bogusiński, Szatkowski, Boroński, Królikowska, Sznage, Sumper, Turowicz, Bogusińska, Czerniakowa, Sokolicz, Sławińska, Zielińska, Greczyńska, Dobrzycka, Herburt, Oleńska i wiele innych — nazwiska wystarczą za reklamę.

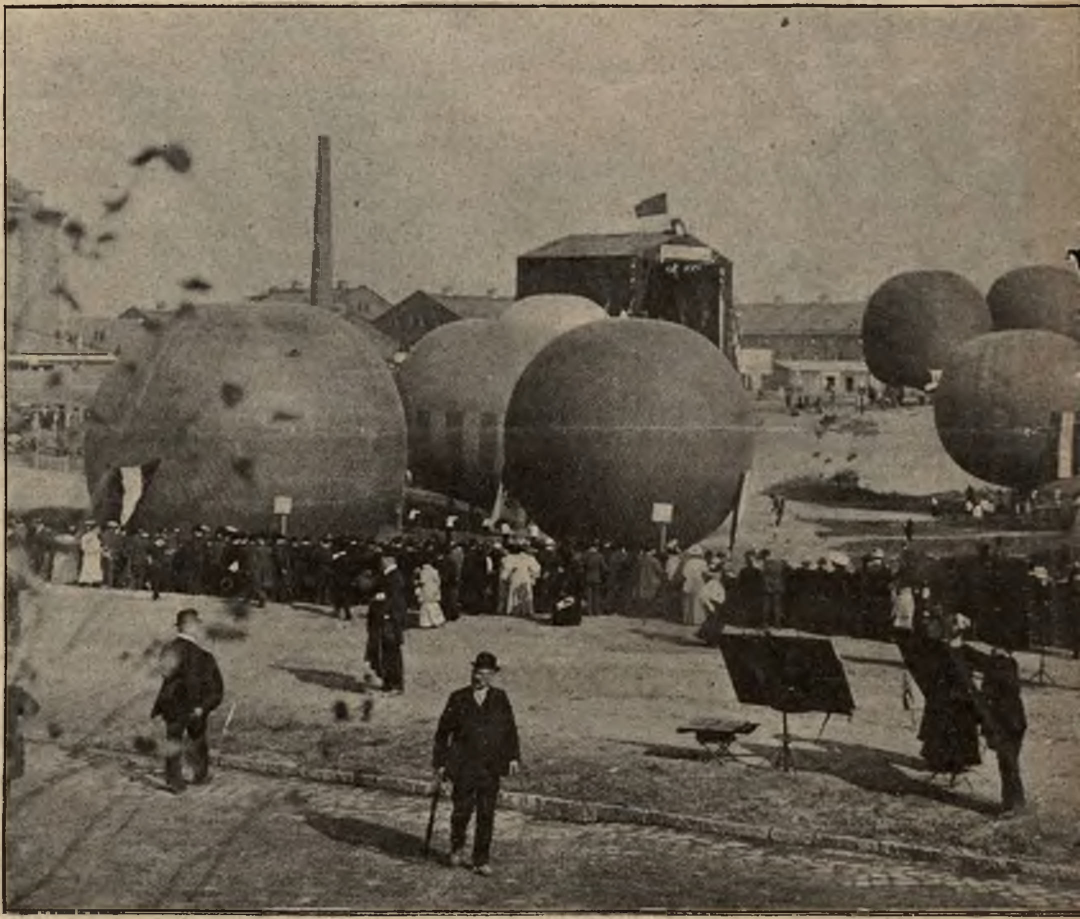
Jeśli wszystko to jest z jednej strony dziełem niezmordowanej pracy i zabiegów dyrektora Lelewicza, to z drugiej znów strony nie ulega kwestyi, że wielka część zasługi spada na opiekuna i mecenasa polskiej w Poznaniu, dyrektora banku związkowego Michała Więckowskiego, który jako członek Rady nadzorczej teatru polskiego, przeforsowawszy kandydaturę p. Lelewicza, wyjednał też odpowiednie fundusze na odnowienie widowni, na dokonanie koniecznych przeróbek, oraz sprawienie dekoracyi i części garderoby.

Mamy nadzieję, że teatr poznański pod umiejętnem kierownictwem Lelewicza i przy zgodnem współdziałaniu personalu sprosta swym zadaniom.

Wyścigi balonów w Berlinie.

Obecnie, gdy „rozbalonowało“ się nasze społeczeństwo, wielkie zaciekawienie obudziły międzynarodowe zawody balonów w Berlinie, które rozpoczęły się w ubiegłą sobotę jazdą do oznaczonego celu. Wzięło w niej udział 24 balony. Jazda polega na tem, że balony wznoszą się z jednego punktu i mają ile możności wylądować w jednym punkcie, względnie najbliżej niego. W obecnych zawodach był pierwszym Mecket, który w balonie Elberfeld wylądował w odległości 302 m. od wyznaczonego celu, drugim był Sohncke, trzecim Belgijczyk Lambinieu, czwarty wreszcie austryacki kapitan Hinterstoisser wraz z żoną.

Najważniejszą częścią zawodów były międzynarodowe wyścigi o nagrodę, imienia Gordon-Benneta, w których chodzi o to, kto z uczestników najdalej doleci. Wzlot odbył się w Schmargendorf pod Berlinem, a startowały wszystkie zgłoszone balony w liczbie 23. Wycofał się jedynie amerykański balon „Conqueror“, który już po wzniesieniu się doznał uszkodzenia powłoki. Balon spadł



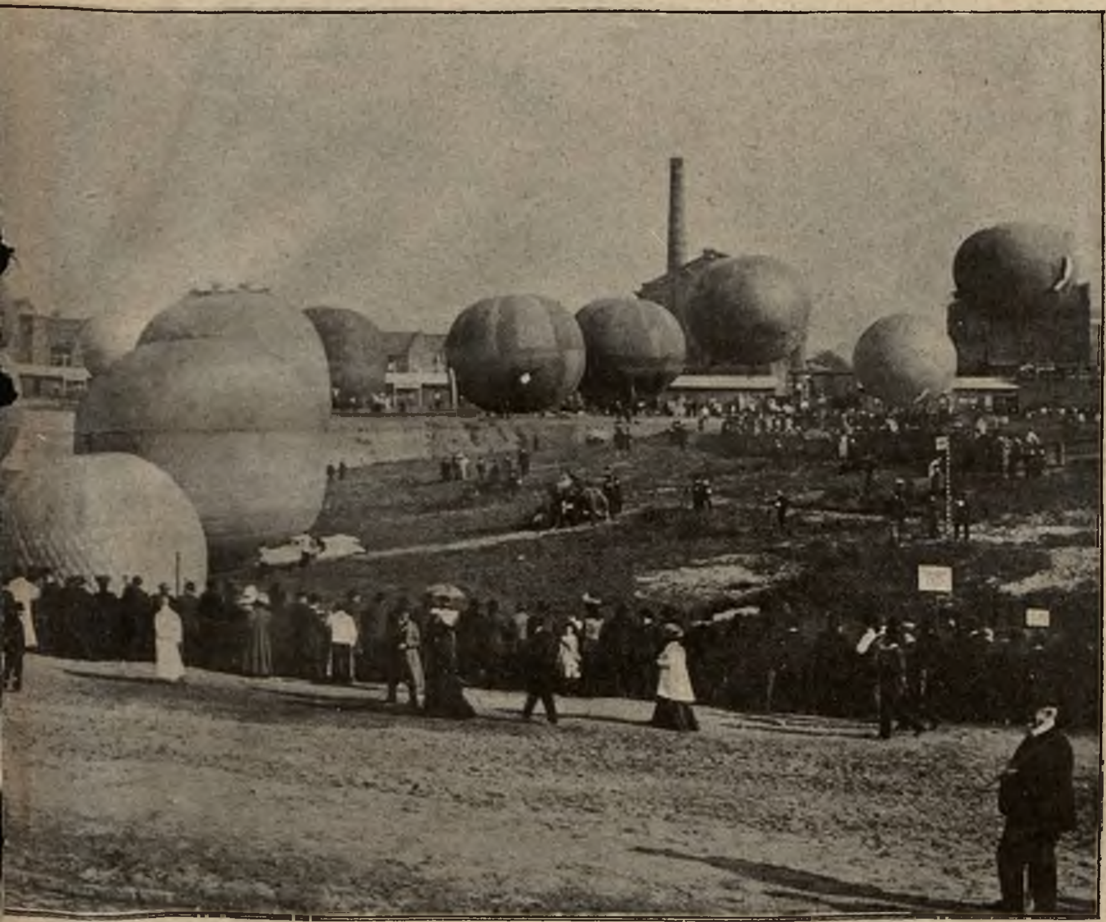
Wyścigi balonów w Berl[inie]

na ziemię z wielką chyżością, ale znajdujący się w łodzi aeronauci nie odnieśli dziwnym trafem żadnych uszkodzeń. Balony, pędzone południowo-wschodnim wiatrem ku morzu Północnemu, zmuszone zostały do przedwczesnego lądowania, aby uniknąć niebezpiecznej podróży nad morzem. Amerykański balon „St. Louis“ uległ z tego powodu katastrofie, spadłszy na morze w nocy z poniedziałku na wtorek (jazdę rozpoczęto w niedzielę). Obu aeronau-



Teatr polski w Poznaniu: Artyści teat[ru]

tów wyratował okręt „Langeroog“, balon zatonął. Ten sam los spotkał balon „ks. Wiktorya“ który także opadł na wodę. Aeronauci dopłynęli do brzegu, balon wydobyto na pokład okrętu. Według nadesłanych wiadomości najdłuższa droga, którą prze-



lnie: Balony gotowe do odlotu.

był balon „Banshee“ wynosiła 460 kilometrów, licząc od Berlina. O pięciu balonach nie było do środy wiadomości, a ponieważ dłużej niż dwa dni i dwie nocy balon nie może się utrzymać w powietrzu, powstała w Berlinie obawa o ich los.

Balony, które lądują na morzu, lub choćby w niewielkiej odległości od morza, ulegają dyskwalifikacyi na mocy uchwały międzynarodowego Związku aeronautów. Taki los spotka zdaje się szwajcarski balon „Helvetię“, który choć przez 72 godzin znajdował się w powietrzu, więc najdłużej ze wszystkich, nie otrzymał przecież nagrody, gdyż wylądował na morzu. W takim razie nagroda przypadłaby angielskiemu balonowi „Banshee“.

Illustracya nasza przedstawia balony startujące w Schmargendorf pod Berlinem.

Wojownicza Serbia.

Obecnie oczy całej Europy zwrócone są na Serbię, którą ogarnął zapał wojenny, wybuchający z całą siłą pod postacią demonstracyi ulicznych, domagających się gwałtownie wojny z Austryą. Prowokacya ze strony serbskiej nie ustaje, Austrya dotąd nie dała się wytrącić z równowagi, choć, jak niosą wiadomości, nie jest nieprzygotowaną na wszelką ewentualność. Drogi nadgraniczne, mosty i tunele obsadzono wojskiem, flotylla Dunajowa posunęła się ku Belgradowi. Zapał wojenny Serbów podsycany jest ciągle przez prasę i publiczne występy następcy tronu, ks. Jerzego, który w ten sposób stara się zdobyć popularność, iż wygłasza płomienne mowy do manifestujących tłumów, zagrzewając je do walki i obiecując, że „już wkrótce na ich czele pójdzie walczyć za króla i ojczyznę“. Większość opinii publicznej w Serbii jest przeciw wojnie, gdyż ani armia nie jest należycie przygotowana, ani skarb państwa nie posiada odpowiednich funduszów. Parlament większością głosów oświadczył się przeciw wojnie, mimo to jednak, jak czytamy, postanowiono dobrowolnie kredyt na cele wojenne, zażądany przez ministra wojny w sumie szesnastu milionów, podwyższyć na trzydzieści.

Nie brakuje głosów w prasie twierdzącej całkiem seryo, że ruch antiaustryacki w Serbii pod-



Kryzys turecko-bułgarski: A. Malinow, przezydent bułgarskich ministrów

niecany jest przez rząd angielski, który ma podobno wpływać nań materyalnie i moralnie w nadziei, że na tronie serbskim zasiądzie najmłodszy brat króla Edwarda, ks. Connaught. Ile w tem prawdy, niewiadomo, to jednak pewne, że w Belgradzie onegdaj rozrzucono w wielkiej ilości portrety pretendenta, a choć rząd angielski mityguje zapędy serbskie, radząc spokój, to przecież z wszystkich enuncyacyi prasy i miarodajnych czynników politycznych angielskich widoczna, że rząd wielkobrytański ma w tem interes, aby na Bałkanie tak rychło nie nastąpiła równowaga.

Wogóle stanowisko króla serbskiego Piotra jest bardzo zachwiane, głównie dzięki następcy tronu, który, jak z wszystkiego widać, radby sam zasiąść na tronie serbskim. Rozeszły się nawet wieści, zdementowane wprawdzie przez prasę, że król Piotr wyjechał za granicę, rzekomo nawet na terytoryum węgierskie, później znów, że następca tronu chce go zmusić do abdykacyi. Gdyby to rzeczywiście nastąpiło, konflikt zbrojny między Austryą a Serbią byłby nieunikniony. O wyniku jego niema dwu zdań. Serbia, choć tak rozentuzyazmowana, musiałaby uledz jako fizycznie słabsza, kto wie jednak, czyby to nie było początkiem daleko idących zawikłań politycznych i zupełnego popsucia harmonii w koncercie europejskim. Być może, że skończy się wszystko na kongresie mocarstw, który ma rozpatrzyć sprawę [...]komego naruszenia postanowień trakt[...] berlińskiego, oraz obmyśleć rekompen[...] dla interesowanych państw, w każdym [...]zie przyznać trzeba, że sytuacya je[...]gromnie naprężona. Najgorzej na tem [...]chodzi handel austryacki, gdyż na [...] Wschodzie zgodnie bojkotują Austry[...] którzy znaleźli się zupełnie odosob[...], gdyż nawet ów rzekomy przyjaciel i życzliwy sekundant (po konferencyi w Algeciras), Niemcy, wystąpił z bardzo dwuznaczną polityką.

Podobnie jak Serbia, która spokojnie toleruje prowokujące występy gawiedzi ulicznej, wojowniczym natchnięta animuszem, występuje i Czarnogóra. I tu, zdaje się, własny interes gra główną rolę, rząd czarnogórski stara się pozyskać dla siebie sympatye serbskie, oby, jeśli okoliczności pomyślnie się złożą, pokusić się o usadowienie na tronie belgradzkim którego z książąt czarnogórskich.

Jakie będzie rozwiązanie tej zawiłej sytuacyi, dziś przewidzieć nie można, czy wojna rozstrzygnie sprawę, czy załatwi ją konferencya międzypaństwowa — to jedno jest pewnem, że Bułgarya pozostanie królestwem, a Bośnia wraz z Hercogo-



z dyrektorem Lelewiczem w pośrodku.

winą [illegible]ócą już pod berło padyszacha. Nawet mahome[illegible]a ludność Bośni jest z anneksyi zadowoloną, [illegible] jak znów Turcy z Sandżaku nie chcą się zg[illegible] na wycofanie stamtąd wojsk austryackich.

Illustracye, zamieszczone w niniejszym numerze przedstawiają całą seryę zdjęć fotograficznych z [illegible]cia obozowego wojowniczej Serbii. Jedna z fotografii okazuje też gwardzistów greckich.

Zdjęcia te nadesłał nam nasz sprawozdawca W. Lis, który w ubiegłym tygodniu wyjechał do Serbii i Bułgaryi. Skoro tylko przybył do Belgradu i począł robić zdjęcia fotograficzne, aresztowano go i skonfiskowano aparat, wartości około ośmiuset koron. Dzięki osobistej interwencyi sekretarza austryackiej ambasady puszczono go na wolność, jednakowoż pod eskortą odstawiono do granicy austryackiej, rozkazując natychmiast opuścić terytoryum serbskie. Aparatu nie udało się odebrać. Poczyniliśmy już we Wiedniu odpowiednie kroki, aby w[illegible]ność dostała się znów w nasze ręce.



Wojownicza Serbia: Pogotowie wojenne. Żołnierze w namiotach.

Kłopoty Karageorgiewiczów.

Powrót na tron serbski dynastyi Karageorgiewiczów, wywodzących swój początek od Jerzego Czarnego, zaznaczył się krwawą plamą w historyi Serbii, gdy na rozkaz, czy też tylko za niemą zgodą króla Piotra padł pod razami morderców k[illegible] Aleksander i Draga.



Wojownicza Serbia: Obozowe życie żołnierzy serbskich.

Od tego czasu z konaku belgradzkiego dochodziły różne wiadomości, które budziły podziwienie Europy. Król Piotr miał ciężki orzech do zgryzienia, gdyż następca tronu, ks. Jerzy, urodzony w r. 1887 rozpoczął hulaszczy żywot ku ogromnemu zgorszeniu stolicy. Doszło nawet do tego, że rozamorowany książe z jakąś śpiewaczką wyjechał do Wiednia i z trudnością tylko udało się nakłonić go do powrotu na łono stroskanego papy. Książe Jerzy jest wielkim amatorem kobiet i wina, a przytem odznacza się tak gwałtownem i brutalnem usposobieniem, że skutkiem tego przyszło do poważnych rozterek między nim a starszą od niego o 3 lata siostrą Heleną.

Żaden oficer nie chce się zgodzić na pełnienie przy nim obowiązków adjutanta, a i żołnierze gwardyi, pełniący służbę w konaku mieli już sposobność wypróbowania na sobie celności strzałów młodego księcia. Wszyscy jednozgodnie przyznają, że w każdym razie jest to młodzieniec zdolny, odważny i z temperamentem. Ten jednak temperament sprawia wiele kłopotu królowi i serbskim politykom, gdyż młody książe swemi wystąpieniami rozentuzyazmował tłumy, spieszące pod sztandary legii ochotniczych, na których czele, jak się zdaje, ma ochotę wkroczyć do Bośni. Wogóle sympatye Serbów zwracają się coraz bardziej ku ks. Jerzemu, co nawet spowodowało prasę do rozpuszczenia wieści o abdykacyi króla Piotra i wyjeździe za granicę.

Jego młodszy brat, ks. Aleksander, jest jego przeciwieństwem: delikatny, słaby, oddany naukom. Takiego samego usposobienia jest i siostra Helena, osoba, zwłaszcza od chwili zabójstwa Aleksanra i Dragi, nadzwyczaj nerwowa.

W bieżącym numerze podajemy portret króla Piotra i obu jego synów według najświeższego zdjęcia fotograficznego, nadesłanego z Belgradu.



[illegible]ryzys turecko-bułgarski: M. Takew, bułgarski minister spraw wewnętrznych.



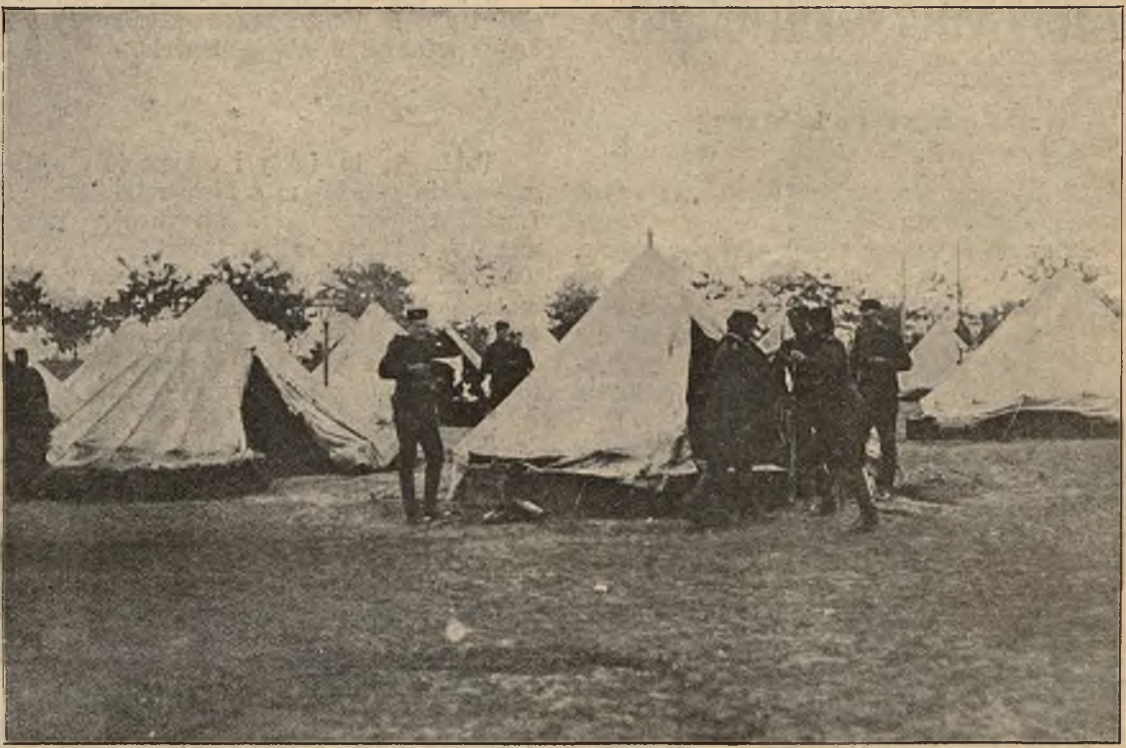
Wojownicza Serbia: Artylerya serbska.

Kryzys turecko-bułgarski.

Sprawa ogłoszenia niezależności królestwa bułgarskiego nasunęła przypuszczenie, że między Turcyą, dotychczasową zwierzchniczką Bułgaryi, a nowem królestwem przyjdzie do zbrojnego zatargu, na który zanosiło się już przedtem z powodu obsadzenia przez rząd bułgarski części kolei oryentalnej. Z tego powodu zaczęto się interesować sprawami wojskowemi obu państw.

W Bułgaryi, od czasu wstąpienia na tron króla Ferdynanda, wydatki na armię pochłaniają 25% budżetu. Powszechny obowiązek służby wojskowej rozpoczyna się z 20 rokiem życia i trwa przez lat 25. Czynna służba trwa w piechocie dwa lata, w innych rodzajach broni trzy.

Armia bułgarska składa się z 9 dywizyi. W czasie pokoju każdy z 36 pułków piechoty posiada po dwa bataliony o 4 kompaniach, w czasie wojny każdy pułk otrzymuje dalsze dwa bataliony polowe, batalion zapasowy i kompanię trenu. Piechota posiada karabiny repetyerowe systemu Mannlichera o kalibrze 8 mm. Konnica składa się z 10 pułków liniowych i pułku gwardyi, artylerya z 9 pułków po 9 bateryi o 6 działach każda. Nadto mają Bułgarzy brygadę artyleryi górskiej i 3 bataliony artyleryi fortecznej, w czasie wojny liczba ta się podwaja. Techniczne oddziały składają się z 9 batalionów pionierów, dwu batalionów kolejowych i jednej kompanii pontonierów. Siła zbrojna na stopie pokojowej wynosi 58.427 ludzi, na stopie wojennej 190.452, ogółem może Bułgarya postawić na polu walki armię liczącą około 300.000 ludzi, gdy natomiast Turcy mogą w Europie wysłać do boju 750.000 wojska.



Wojownicza Serbia: Pogotowie wojenne. Żołnierze w namiotach.



Wojownicza Serbia: Żołnierze gwardyi greckiej.

Armia turecka, jak w jednym z berlińskich dzienników ogłasza C. Zeppelin, znawca stosunków tureckich, ogromnie w ostatnich czasach się podniosła pod każdym względem. Zwłaszcza szeregowcom nie szczędzi on pochwał, przytaczając zdanie pruskiego generała Golza, który twierdzi, że każdy szeregowiec turecki ma swą wybitną indywidualność, wrodzoną inteligencyę i pogardę śmierci, wpojoną przez religię i otoczenie rodzinne. Pod względem fizycznym jest żołnierz turecki także znakomity, czego o bułgarskim powiedzieć nie można.

Z tego widać, że w razie, gdyby między obu państwami przyszło do starcia, przewaga byłaby bezwarunkowo po stronie tureckiej, której zastępy bojowe, ożywione fanatyzmem narodowym, poszłyby na oślep na wroga. Najważniejsza jednak, że oba państwa stoją bardzo źle pod względem finansów i absolutnie nie mają pieniędzy na kosztowne prowadzenie wojny, będą więc czekać, aż spór ich rozstrzygnie kongres europejski, który ma wkrótce się zebrać.

W bieżącym numerze podajemy portrety kierowników polityki bułgarskiej, oraz zdjęcie, przedstawiające sceny z życia częściowo zmobilizowanych armii obu państw wrogo względem siebie usposobionych. Ludność bułgarska przyjęła krok rządu z nieopisanym entuzyazmem, cały kraj gotów stanąć pod bronią przeciw Turcyi. Owacye na cześć cara Ferdynanda nie ustają, a szczególniej uroczyście zapowiada się koronacya, która ma się odbyć w przyszłym miesiącu.



Kryzys turecko-bułgarski: Jenerał Nikołajew, bułgarski minister wojny.



Wojownicza Serbia: Serbska orkiestra wojskowa.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

przez **Maurycego Leblanc**.

13 (Dokończenie).

Było to biuro; gęsta zasłona firanek bajowych przysłaniała ów pokój.

Zeskoczywszy na balkon, chwilę stał nieruchomy, przysłuchując się, wypatrując.

Uspokojony cichością, nacisnął z lekka obie połowy okna. Jeśli z wieczora nikt nikt ich nie przepatrzył, powinny były się roztworzyć, popołudniu bowiem obrócił zasuwę tak, że nie leżała w klamrze.

Okno poruszyło się. Wówczas z nieskończoną ostrożnością otworzył je na małą szparę. Skoro tylko mógł głowę przesunąć, zatrzymał się. Przez nieszczelnie zawarte firanki sączyło się nieco światła: zobaczył Gerwazę i Ludwika, siedzących obok kasy.

Zrzadka tylko zamieniali słowa, zcicha, pogrążeni w swojej robocie. Arsen wyliczył przestrzeń, jaka go od nich dzieliła, wymierzył stanowcze ruchy, niezbędne do ubezwładnienia ich, jedno po drugiem, zanim zdołają zawołać o pomoc i miał już się rzucić, kiedy Gerwaza odezwała się:

— Jak nagle zrobiło się chłodno w pokoju! Pójdę się położyć. A ty?

— Chciałbym już skończyć.

— Skończyć! Ależ będzie tego na całą noc.

— O nie, najwyżej na godzinę.

Wyszła. Minęło dwadzieścia minut, trzydzieści. Arsen roztworzył okno szerzej. Firanki drgnęły. Otworzył jeszcze. Ludwik obrócił się i spostrzegłszy, że wiatr wzdyma firankę, podniósł się, aby zamknąć okno...

Nie było krzyknięcia, nie było nawet pozoru walki. Kilku stanowczymi ruchami, nie sprawiwszy najmniejszego bólu, Arsen ogłuszył go, zawinął mu głowę firanką, skrępował, a to wszystko tak szybko, że Ludwik nie mógł nawet spostrzedz twarzy napastnika.

Potem raptownie rzucił się do kasy, schwycił dwie teki, wziął je pod ramię, wyszedł z biura, zbiegł po schodach, przeszedł podwórze i otworzył podwórzową furtkę. Na ulicy stał powóz.

— Weź to zaraz — powiedział furmanowi — i chodź za mną.

Wrócił do biura. Po dwukrotnem zwróceniu się opróżnili całą kasę. Potem Arsen poszedł do swego pokoju, zdjął sznur, zatarł wszelki ślad swojej bytności. Wszystko było skończone.

* * *

W kilka godzin potem Arsen Lupin przy pomocy swego towarzysza dokonał wyprzątnięcia portfelów. Nie rozczarował się wcale, skonstatowawszy, że bogactwo Imbertów nie było tak wielkie, jak to utrzymywano. Przewidywał to oddawna. Miliony nie liczyły się na setki, ani nawet na dziesiątki. Lecz w każdym razie ogół przedstawiał cyfrę bardzo poważną, a były to wszystko wyborowe walory, obligacye drogi żelaznej, miasta Paryża, Suezkie, kopalni Północnych i t. d. Powiedział sobie, że jest zadowolonym.

— Zapewne — mówił — będzie ciężka strata, kiedy przyjdzie je spieniężyć. Znajdą się areszty, trzeba będzie likwidować do najpodlejszej ceny. Nic nie znaczy, z tem pierwszem zaopatrzeniem się w kapitał zobowiązuję się żyć, jak to rozumiem... i uskutecznić niektóre marzenia, które mi tkwią w sercu.

— A reszta?

— Możesz je spalić mój chłopcze. Ta kupa papierów dobra była dla nadania kasie pięknego wyglądu. Dla nas to nieużyteczne. Co do papierów wartościowych, zamkniemy je spokojnie w szafce i poczekamy chwili przychylnej.

Nazajutrz Arsenowi przyszło na myśl, że niema żadnej racyi, aby nie wrócić do domu Imbertów. Ale dzienniki przyniosły nieprzewidzianą nowinę: Ludwik i Gerwaza gdzieś znikli.

Z wielką uroczystością nastąpiło otwarcie kasy ogniotrwałej. Władze sądowe stwierdziły, że Arsen Lupin zostawił w niej... niewiele.

* * *

Takie są to fakty i takiem jest wyjaśnienie, jakie daje niektórym z nich interwencya Arsena Lupin. Opowiadanie to otrzymałem od niego samego, w jakiejś chwili wynurzeń.

Przechadzał się wzdłuż i wszerz po moim gabinecie, a w oczach jego połyskiwała gorączka, czego nigdy dotąd u niego nie widziałem.

— Ogólnie biorąc — rzekłem do niego — jest to najudatniejszy czyn pański.

Nie odpowiadając mi wprost, odparł:

— Są w tej sprawie nieprzeniknione tajemnice. Naprzykład teraz, nawet po wyjaśnieniach, które panu poczyniłem, ileż pozostało jeszcze ciemności! Co znaczy ich ucieczka? Dlaczego nie skorzystali z pomocy, jaką mimowolnie im podałem? Byłoby tak prosto powiedzieć: „Znajdowało



Illustracya do powieści: Z pamiętników wspólnika zbrodni.

się w kasie sto milionów. Niema ich tam teraz, ponieważ skradziono!“

— Stracił głowę.

— A właśnie stracili głowę... Z drugiej strony, to prawda, że...

— Co, to prawda?

— Nie, nic.

Cóż znaczyło to przemilczenie? Jasnem było, że nie powiedział wszystkiego i że to, czego nie dopowiedział, wzbraniał się wymówić. Byłem zaciekawiony. Rzecz musiała być ważną, kiedy wywołała wahanie u tak stanowczego, jak on człowieka.

Na chybił trafił postawiłem mu pytanie:

— I nie widziałeś ich pan później?

— Nie.

— I nie zdarzyło się panu odczuć pewnej dozy litości dla tych nieszczęśliwych?

— Mnie!?... — wykrzyknął, zrywając się z krzesła.

Uderzył mię ten wybuch. Czyżbym trafił dobrze? Ciągnęłem dalej:

— Zapewne. Mogliby może stawić czoło niebezpieczeństwu... a przynajmniej uciec z pełną kieszenią.

— Wyrzuty sumienia? to o nich mi pan mówisz, nieprawdaż?

— A gdyby!

Uderzył w stół gwałtownie.

— Podług pana, powinienem czuć wyrzuty sumienia!

— Nazwij pan to sobie wyrzutami, czy litością, jednem słowem, jakieś uczucie...

— Jakieś uczucie względem ludzi...

— Których pozbawiłeś pan fortuny.

— Jakiej fortuny?

— No... nakoniec, tych dwóch, czy trzech pęków papierów procentowych.

— Dwóch, czy trzech pęków papierów procentowych? Zabrałem im pakiety z procentowymi papierami, nieprawdaż? Część ich spadku? Taka jest moja wina? Taka moja zbrodnia?

— Ależ, na Boga, mój drogi, czyż nie odgadłeś dotąd, że te akcye były fałszywe?... Słyszysz pan?

— Były fałszywe!

Patrzyłem nań ogłuszony.

— Fałszywe, cztery czy pięć milionów...

— Fałszywe — krzyknął wściekły — arcyfałszywe! Obligacye, Miasto Paryż, akcye państwowe — bibuła, nic więcej, tylko bibuła! Ani grosza nie wyciągnąłem, ani grosza z całej tej masy. I jeszcze pytasz mnie pan o wyrzuty! To oni powinni je mieć! Zarwali mnie, jak pospolitego młokosa! Oskubali, jak ostatniego gapia — najgłupszego z gapiów!

Wstrząsnął nim gniew najprawdziwszy, zrodzony z żalu i zranionej miłości własnej.

— A jednak od początku do końca ja byłem górą! Od najpierwszej chwili! Wiesz pan jaką rolę odgrywałem w całej tej sprawie, czyli raczej jaką oni odegrać mi kazali? — Rolę Andrzeja Brawford! Tak, mój drogi, i ja tego nie rozumiałem!...

Tylko już później, zawdzięczając dziennikom i uprzytomniwszy sobie pewne szczegóły, spostrzegłem się, że tak jest.

Podczas kiedy pozowałem na dobroczyńcę, na człowieka, który z narażeniem własnego życia wyciągnął go ze szponów napaści, oni, ze swej strony, zrobili ze mnie jednego z Brawfordów!

Czy nie jest to przepyszne? Ów oryginał, który zajmował pokój na drugiem piętrze, ten dzikus, którego sobie pokazywano zdaleka, był Brawfordem, a Brawford był mną! I mnie to zawdzięczając, zawdzięczając ufności, jaką wzbudzałem imieniem Brawforda, bankierzy pożyczali, notaryusze namawiali swoich klientów na pożyczkę! Hę, co za świetna szkoła dla początkującego! Zaręczam panu, lekcya nie była straconą!

Nagle zatrzymał się, chwycił mnie za ramię i głosem zrozpaczonym, w którym wszakże łatwo było podchwycić odcień ironii i uwielbienia zarazem, rzucił ten frazes niezrównany:

— Mój kochany, w obecnej chwili Gerwaza Imbert winna mi tysiąc pięćset franków!

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu. Naprawdę był to niezrównany pomysł. On sam również nie mógł się oprzeć szczerej wesołości.

— Tak jest, mój kochany, tysiąc pięćset franków! Nietylko bowiem nie widziałem ani jednego grosza z mego wynagrodzenia, ale jeszcze Imbertowa pożyczyła odemnie tysiąć pięćset franków! Wszystkie moje oszczędności skromnego młodzieńca! I wiesz pan na co? Dla swoich biednych! Jak mnie pan [illegible]sz! Dla swoich mniemanych ubogich, których wsp[illegible] bez wiedzy Ludwika! I ja ją podciąłem!

Czy nie jest to śmieszne, co? Arsen Lupin obrany z tysiąca pięciuset franków, obrany przez zacną damę, której skradł cztery milony franków fałszywych papierów procentowych. A ile kombinacyj, ile wysiłków i genialnych wybiegów użyć ja musiałem, aby dojść do tak wspaniałego rezultatu!

Jedyny to raz w mojem życiu byłem pobity... I do kaduka, dobrze pobity, i to w wysokiej stawce!..

KONIEC.

Jubileusz artysty.

W ubiegłym tygodniu obchodził w Warszawie czterdziestoletni jubileusz swej pracy scenicznej Józef Mikulski, artysta teatru Rozmaitości. Obchód nosił nazwę „Wieczoru żywego słowa", a wziął w nim udział i znakomity kolega jubilata, Mieczysław Frenkiel.

P. Mikulski, urodzony w Warszawie w r. 1849, wychowanek szkoły dramatycznej teatrów warszawskich, był uczniem Chęcińskiego i Królikowskiego, którzy tak chlubnie zapisali się w historyi teatru i tylu adeptów sztuki wprowadzili na deski sceniczne i wykierowali na znakomitych artystów. Debiutował na scenie teatru Rozmaitości w r. 1868 w „Kobietach z kamienia" i „Chatce w lesie", zdobywając sobie wstępnym bojem uznanie krytyki i publiczności. Następnie pracował na scenach prowincyonalnych pod kierownictwem Trapszy, później we Lwowie i Poznaniu, grając wybitne role z wielkiem powodzeniem. Przed piętnastu laty wstąpił w skład artystów sceny warszawskiej i sumienną pracą zasłużył sobie na ogólne uznanie. Grywał z powodzeniem starego Moora w „Zbójcach", Przeora w „Obronie Częstochowy", Morina w „Robotnikach" i wiele innych, napisał też studyum estetyczne p. t. „Sztuka aktorska".

Wieczór jubileuszowy wypadł bardzo interesująco. Jubilat wygłosił szereg utworów deklamacyjnych i wypowiedział odczyt p. t. „Tajemnice sztuki żywego słowa", to też publiczność, uznając sumienną a gorliwą pracę jubilata zebrała się nader licznie w sali Tow. Wioślarskiego i witała go owacyjnie.



Kłopoty Karageorgiewiczów: Następca tronu ks. Jerzy.

Nowa defraudacya we Lwowie.

W kilka zaledwie dni po wykryciu głośnej defraudacyi w Związku kredytowym we Lwowie, popełnionej przez dyrektora Weissmanna, wywołała nową sensacyę nowa defraudacya, stwierdzona w lwowskim głównym urzędzie podatkowym. Bohaterem nowej tej sensacyi jest urzędnik podatkowy, Herman Atlas.



Kłopoty Karageorgiewiczów: Król Piotr Karageorgiewicz.

W obu tych historyach nie brak punktów stycznych. Przedewszystkiem wysokość sprzeniewierzonej kwoty dochodzi w obu wypadkach do 80 000 koron. Zarówno dyr. Weissmann, jak Atlas, należeli do ludzi bardzo zdolnych i cieszących się do niedawna jak najlepszą opinią. Przypadek naprowadził na wykrycie braków w kasie Związku kredytowego i przypadek zdemaskował Hermana Atlasa.

Są jednak i grube różnice. Przedewszystkiem dyr. Weissmann popełniał swe nadużycia przez długi czas, biorąc drobne kwoty na swój własny użytek, Atlas zaś zgrzeszył tylko jeden, jedyny raz — ale za to porządnie. Weissmann pozostał we Lwowie i dostał się za swą winę do więzienia, Atlas natomiast w czas zbiegł z Europy i przebywa obecnie w Ameryce.

Defraudacyę popełnił Atlas jeszcze w lipcu b. r., gdy zastępował kasyera. Wówczas to zainkasował wpłacony przez Bank hipoteczny podatek w wysokości około 80 000 koron, z pieniędzy tych jednak oddał do kasy tylko drobniutką część, przedstawiając likwidaturze i rejestrantowi sfałszowany kwit, resztę zaś przywłaszczył sobie. Całą manipulacyę zaś przeprowadził tak sprytnie i tak zręcznie, że chyba tylko przypadek mógł spowodować wykrycie nadużycia.

I rzeczywiście tylko przypadek dopomógł do wykrycia popełnionej zręcznie malwersacyi. Przed kilku miesiącami uciekł ze Lwowa egzekutor podatkowy Kaparowski, zdefraudowawszy kwotę około 7.000 koron. Badając tę sprawę, przypomniano sobie, że Kaparowski utrzymywał bardzo zażyłe stosunki z Atlasem, zaczęto się więc zastanawiać, czy przypadkiem nie był mu tenże pomocnym przy popełnieniu defraudacyi. Szczegółowe zbadanie pozostawiono jednak do czasu powrotu Atlasa z urlopu. Minął jednak 1 października, a Atlas do służby się nie stawił, nadszedł jednak od niego list do rodziny, w którym donosi, że przebywa w Ameryce i z powodu złych stosunków finansowych do kraju już nie wróci. Gdy o treści listu dowiedziano się w urzędzie podatkowym, przypomniano sobie, że Atlas w lipcu zastępował kasyera i odrazu zrodziło się podejrzenie, że musiał wtedy coś zbroić. Przeprowadzono dokładne szkontrum i wykryto nadużycie. Szkodę w tym wypadku ponosi wyłącznie skarb państwa.



Kłopoty Karageorgiewiczów: Aleksander, młodszy syn króla Piotra.



Po aneksyi Bośni i Hercegowiny. Jenerał Winzor, opuszcza katedrę po nabożeństwie.



Po aneksyi Bośni i Hercegowiny: Turecka dzielnica w Serajewie, po ogłoszeniu aneksyi.

(Do artykułu na stronie 3).

Kronika tygodniowa.

(Sejm czeski i nasz. — Reforma wyborcza dla kobiet. — Owacya dla inspektora podatkowego. — Bierny opór. — Czarnogóra i Serbia. — Wybory w Ameryce. — Z wyższej polityki. Sprawa węglowa. — Węże archiwalne.

Pokazało się, że wschodnio galicyjskie trzęsienie ziemi było w swych skutkach daleko donioślejsze niż przypuszczano, gdyż jak się pokazuje dało się odczuć nawet we Wiedniu, gdzie zachwiały się fotele ministeryalne pp. Fiedlera i Praszka. Bardzo mi żal, szczególniej pierwszego, gdyż Praszek da sobie jakoś radę w świecie, będąc z natury muzykalnym; skoro pójdzie „w duraki“ będzie mógł objąć kierownictwo jakiejś orkiestry lub choćby kupić sobie katarynkę, gdy tymczasem p. Fiedler zdolności muzykalnych wcale nie posiada. Przynajmniej jaki taki spokój nastał w Czechach, obstrukcya niemiecka miała skutek należyty — sejm już odroczony, a owa komisya nieustająca, która ma myśleć o reformie wyborczej będzie mogła spokojnie zabrać się do dzieła. Zdaje mi się, że utworzenie podobnej komisyi byłoby i dla naszego sejmu bardzo korzystne, posłowie mogliby spać spokojnie, komisya myślałaby za nich, i może już raz przecież ujrzałaby światło dzienne nowa ordynacya wyborcza, na którą tak oczekują nasze panie.

Boć raz przecież spełnią się ich życzenia, gdy będą mogły stanąć przy urnie wyborczej. Swoją drogą lewica sejmowa, która projekt reformy postawiła, okazała bardzo mało galanteryi wobec dam, zaznaczając wyraźnie, że prawo wyborcze mają dopiero kobiety od lat 24, prawo wybieralności zaś z ukończonym rokiem trzydziestym. Zdaje mi się, że jest to bardzo szczęśliwe rozwiązanie, gdyż rzadko która będzie się ubiegać o mandat poselski, aby jej przypadkiem nie posądzono, że ma już Chrystusowe lata. Ambicya niewiast będzie zadowolona, a interesy męskie nie ucierpią na tem wcale. Nasze sufrażystki przygotowują wobec tego owacyę dla pp. Dulębianki i Bujwidowej, które były rzeczniczkami ich postulatów.

Owacya owa nie będzie jednak tak wspaniałą, jak owa, którą urządzili „wdzięczni“ podatnicy swemu inspektorowi podatkowemu w Asch w Czechach. Uznając doniosłą jego działalność obywatelską w nakręcaniu śruby podatkowej, zupełnie spokojnie powiesili go, ale tylko *in effigie* na latarni, obiecując, że przy najbliższej sposobności wprowadzą to w czyn. Słyszałem, że i w Krakowie przygotowuje się podobna owacya.

Nasze miasteczko jest jednak zanadto spokojne, aby sobie pozwolić na podobną hecę, zresztą obywatele są tak zajęci obecnie polityką, że nie mają czasu myśleć o podobnych głupstwach. Król Piotr serbski zabił wszystkim klina w głowę, każdy rozmyśla obecnie nad zmianą karty Europy, skoro Serbowie pobiją Austryę. Ja już przygotowałem projekt, który mam zamiar przesłać pod obrady komisyi międzynarodowej, skoro się tylko dowiem, gdzie ona będzie obradować. Wprawdzie kiedysiejszy pierwszy śnieg ostudził zapały wojenne naszych polityków, mimo to jednak sytuacya nie przestała być groźną i kto wie jaki będzie miała epilog. Czy będzie „wielki Kraków“ czy „wielka Serbia“, tego dotąd nie zbadano, w każdym razie trójprzymierze zaczyna coś skrzypieć, choć smarują zawiasy.

Na pogorszenie sytuacyi wpłynął także bierny opór urzędników kolejowych, którzy postanowili wykonywać ściśle służbowe przepisy, aby w ten sposób zalać rządowi sadła za skórę. Nie wiem, czy im się to uda, bo ja np. wiem po sobie, że choć od lat trzydziestu uprawiam w małżeństwie bierny opór, to jest pełnię ściśle obowiązki jakie prawa boskie i ludzkie na małżonków nakładają, nie mogę z moją starą dojść do końca, zawsze jest niezadowolnioną. Ja byłbym zdania, żeby po kolejarzach zastrejkowali i inni urzędnicy i to w następującym porządku: Najpierw mają ogłosić bezrobocie urzędnicy podatkowi oraz inspektorowie. Przez ten czas śruba podatkowa odpocznie, będzie można dać ją tymczasem wysmarować, aby potem lepiej gniotła. Potem mogą zastrejkować egzekutorzy wszelkich odmian i przekonań politycznych, adwokaci i politycy. Będzie wtedy spokój na świecie jak ongi był w raju, wszelakie stworzenia będą chadzać w miłej zgodzie, uspokoi się król Piotr, nawet książe czarnogórski.

Swoją drogą propozycya zeszłotygodniowa, aby jako rekompensatę za anneksyę Bośni i Hercegowiny dać mu w przyszłym roku królestwo kurkowe w Krakowie po p. Kuleszy — tak go ucieszyła, że kiedyś incognito przyjechał do Krakowa, aby zasięgnąć odemnie wskazówek jak ma dalej prowadzić politykę. Ponieważ byłem zajęty gotowaniem obiadu, gdyż żona była na posiedzeniu krakowskich sufrażystek, na którem pani Bujwidowa zdawała sprawozdanie z audyencyi u marszałka, odesłałem go do politycznego korespondenta *Czasu* lub *Reformy*. On się na to nie zgodził, gdyż — jak powiada — artykuły polityczne *Czasu* są dla niego niezrozumiałe, jako zanadto naszpikowane francuszczyzną, *Reformy* zaś zanadto wodniste. Wytłumaczyłem mu, że to nie nasza wina, ale komisyi wodociągowej, która zmusiła każdego właściciela do połączenia domu z miejskim wodociągiem.

Obecnie powstał w Krakowie nowy projekt. Ponieważ ciągle dają się słyszeć narzekania na marnowanie wody, grono wybitnych obywateli na specyalnie zwołanem posiedzeniu uchwaliło zbojkotować miejski wodociąg i nie pić wcale wody. Natomiast kosztem „Eleuteryi“ poprowadzi się rury z Okocima do Krakowa i będzie się pokrzepiało prawdziwym okocimerem; wówczas i wodociągowy automobil nie będzie już potrzebny. Chociaż co w Krakowie komu po automobilu, kiedy piechotą nie można przejść przez ulice, które — jak rok długi — z powodu reparacyi sa zamknięte. To było powodem, że spóźniłem się kiedyś na dworzec kolejowy i nie mogłem wyjechać na teren spodziewanej walki na Bałkanie. Tam przecież zanosi się na coś poważnego! Królewicz Jerzy wygłasza płomienne mowy do biednych Serbów, którzy mają tak wspaniałe pojęcie o polityce europejskiej, jak ja o sprawie następstwa tronu w Chinach, choć z nieboszczką cesarzową wdową byłem nawet spowinowacony! Biedny król Piotr nie może sobie dać rady — tu syn chce mu zabrać tron, tu Anglia pokazuje portret ks. Connaught, tu znów radzą spokój.. tam książe czarnogórski posyła całusa — jednem słowem, gdyby nie to, że on polityk pierwszej wody (ale tylko wody!) nie wiem, czy dałby sobie radę, choćby go nawet Klofacz popierał!

Pan Klofacz jakoś już uspokoił swoje bałkańskie rozdrażnienie, natomiast jego pobratymcy zaczęli wojować! Zupełnie słusznie zauważyłem w ubiegłym tygodniu, że zaczyna się straszliwie wojownicza era! Nietylko Europa cała w ruchu, nawet Azya zaczyna naśladować swoją siostrzycę, a nawet rozbrykała się i poważna Ameryka, gdzie panowie Taft i Bryan zaczynają sobie wzajemnie szyć buty.

Nietylko Europa ma swoje wyborcze historye, pozazdrościła jej laurów Ameryka, a tam pole działania dla hyen wyborczych daleko większe niż u nas! Wprawdzie agitacya amerykańska przy pomocy rewolwerów jest daleko sympatyczniejsza niż pod znakiem kiełbasy wyborczej, to przecież ja myślę, że wybory amerykańskie bez naszych krajowych hyen wyborczych zupełnie się nie udadzą. Projektowane było wysłanie kilkunastu sztuk krajowego chowu, nie doszło jednak do skutku, gdyż sprzeciwił się temu minister finansów, który w obawie, aby przemysł krajowy nie poniósł szkody, zabronił wywozu nierogacizny (a wiadomo, że hyena rogów nie posiada). Ten przemysł nie obowiązywał jednak w owym czasie, gdy kilku adwokatów galicyjskich wyjechało na kongres do Wiednia, choć postanowiono zbojkotować Niemców, którzy nie chcieli dopuścić do obrad żadnego z języków słowiańskich. Wprawdzie nazwiska owych panów nie brzmią wcale po słowiańsku, jednak jeden z nich występuje publicznie pod sztandarem narodowym — nie wstydzi się zaś zapominać czasem, jak to właśnie miało miejsce, o godności narodowej!

Już raz ubolewałem nad tem, że my, żądając aby nas szanowano, nie umiemy się sami szanować, to też lada kiep stara nam się ciosać kołki na łbie! Nie miałbym nic przeciw temu, gdyby już raz nadszedł koniec świata, gdyż jeśli tak dalej pójdzie, to przyjdzie zwaryować lub wściec się, a tu prof. Bujwid zamyka swój interes, a p. Pilz jeszcze swojego nie otworzył! Już w rozpaczy chciałem się rzucić w bystre flukty polityki, aby tam znaleźć śmierć samobójczą, odstraszył mnie jednak przykład Austryi, która w swym kochanym aliancie, Niemcach, znalazła takich serdecznych przyjaciół, że zdawało się, iż się spełni dawne a doświadczone przysłowie „wśród serdecznych przyjaciół, psy zająca zjadły“.

Bo proszę sobie wyobrazić, jak to musi być przyjemnie panu baronowi Aehrentalowi, gdy się dowiaduje od swego berlińskiego ambasadora, że cesarz Wilhelm w najpoważniejszej chwili, gdy ważą się losy Europy, nagle gdzieś się zgubił, i nie można mu doręczyć odręcznego pisma cesarza Franciszka Józefa. Była to nagroda dla austryackiej polityki za wyjmowanie własnoręczne kasztanów z pieca, aby je potem można zjeść spokojnie w Berlinie! Myślę sobie, skoro tak niewdzięczną rzeczą jest polityka, to gotowa i mnie zawieść i zamiast się utopić, gotów jestem jeszcze nauczyć się pływać, a to znowu na te zimne czasy niezdrowo, gdyż jak zapewne Szanownym Czytelnikom wiadomo nie święty Marcin, jak to dawniej bywało, ale święty Jan Kanty przyjechał na siwym koniu. Wogóle postęp i na tym punkcie widoczny!

Ładnie to jednak mówić i pisać o postępie, gdy człowiekowi głodno i chłodno! Cieszyłem się, że będziemy mieli tani opał, skoro jest w Krakowie komisya węglowa i drożyźniana, a nadto krakowskie zagłębie węglowe ma się rozciągać aż pod Rzeszów, co powinno wpłynąć na potanienie węgli, gdy tymczasem dowiedziałem się, że *primo:* komisya węglowa i drożyźniana zajęta jest czem innem, *secundo:* Szwaby wykupują prawo kopania na wszelkich galicyjskich terenach, *tertio:* węgiel drożeje, gdyż opłata kolejowa jest bardzo wysoka. Odbył się wprawdzie w Krakowie zjazd różnych dygnitarzy węglowych, połączony ze zwiedzeniem sąsiednich kopalni węgla oraz kilku śniadaniami, obiadami i kolacyami, przyczem wygłoszono wspaniałe mowy o potrzebie podniesienia przemysłu krajowego, jednak z powodu panującego wówczas bardzo silnego wiatru od zachodu (który nas najbardziej ziębi), rozwiały się piękne obietnice, które nikogo nie zagrzeją!

Proszę sobie wyobrazić, jak to pięknie wygląda owo popieranie krajowego dobrobytu przez wysoki rząd, gdy fracht kolejowy od jednej tonny węgla z Huty Laury do Gruszowa wynosi 440 halerzy, z Gruszowa do Huty Laury 483! Rząd boi się, by nam nie było zimno, więc większym faworem otacza węgle pruskie, od których opłata niższa, niż nasze! Przypomina to opowiadanie o owym wężu, który miał od głowy do ogona ośm metrów, a od ogona do głowy tylko siedm, razem jednak piętnaście!

A propos węża, muszę siąść na kaczkę (dziennikarską), która mnie zaniesie aż do Lizbony, gdzie — jak doniosły gazety — zagnieździły się jadowite węże w państwowem archiwum. Zdaje mi się, że coś podobnego dzieje się i w naszych archiwach rządowych i autonomicznych, dlatego też sprawy tak długo w nich zalegają. Po cóż biedny urzędnik ma się narażać na ukąszenie węża i to do tego jadowitego, gdy zacznie szperać w papierach!

Dziwię się, że wiadomość o owych wężach pojawiła się teraz, gdy przecież jest o czem innem pisać, a nie w czasie kanikuły. Autora owej wiadomości skazałbym na śmierć przez łamanie kołem (ale nie polskiem) lub półgodzinną rozmową krakowskim telefonem, który — jak rok długi — wciąż się naprawia jednego dnia, aby na drugi znów był zepsuty! *X.*

Kącik humorystyczny.

Różnica.

Mały Boleś coś przeskrobał, a ojciec wsypał mu za karę dwanaście trzcinek w najodpowiedniejsze ku temu miejsce. Boleś rozbeczał się, a ojciec po przejściu pierwszej złości, stara go się uspokoić.

— Wierz mi Boleś, że ja ciebie kocham...

— Aha... — mówi Boleś stękając.

— Wierz mi, że ile razy jesteś niegrzeczny, a ja cię zbić muszę, boli mnie to tak samo jak ciebie, a może i więcej.

— Tak — mówi Boleś z żalem — ale nie w tem samem miejscu.

Wynik konkursu literackiego.

Literatura polska jest obecnie w dobie najpiękniejszego rozkwitu, a dzielnie rywalizuje ze sobą Galicya i Królestwo. Do obudzenia żywszego ruchu literackiego przyczyniają się szczególnie liczne konkursy, ogłaszane tak tu jak i tam przez rozmaite instytucye naukowe. Dzięki im poznajemy coraz więcej nowych, nieraz bardzo wybitnych talentów.

W ubiegłym roku ogłosiła „Lutnia“ łódzka konkurs na oryginalną jednoaktówkę, na który



Nowa defraudacya we Lwowie: Defraudant Atlas.

nadesłano kilkadziesiąt prac. Największą ilość głosów otrzymał obraz dramatyczny p. t. „Wichura“, to też jemu bez zastrzeżeń przyznano pierwszą nagrodę.

Po otwarciu koperty okazało się, że twórcą nagrodzonej pracy jest p. Stanisław Żyżkowski, ceniony poeta i powieściopisarz, autor kilku jednoaktówek, z których zwłaszcza: „Do rozwodu“ grana była na warszawskiej scenie przeszło sto razy. Pan Żyżkowski nie po raz pierwszy zostaje laureatem, gdyż już w ubiegłym roku otrzymał na



Jubileusz artysty: Józef Mikulski.



Wynik konkursu literackiego: Stanisław Żyżkowski.

konkursie imienia Bolesława Prusa dwa zaszczytne odznaczenia za dwa swoje utwory powieściowe p. t. „Łuna“ i „Odkupienie“. Nadto bierze on żywy udział i w życiu społeczno-towarzyskiem, będąc czynnym członkiem biblioteki koleżeńskiej Drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

W bieżącym numerze podajemy podobiznę odznaczonego autora.

Leonia Barwińska.

Do artystek krakowskiej sceny, które cieszą się uznaniem krytyki i sympatyą publiczności, należy bezwątpienia Leonia Barwińska, zbierająca oklaski w rolach liryczno-dramatycznych i salonowych. Jako Liza w „Dzieciach słońca“, Aniela w „Ślubach panieńskich, Helena w „Dla szczęścia“, Anna w „Warszawiance“, pani Szolc w „Kajetanie Węgierskim“, Helena w „Panu Jowialskim“, Henryka w „Sarnutkach“, Amelia w „Mazepie“, Goplana w „Balladynie“ i w wielu innych rolach dała artystka sposobność poznania swego wszechstronnego talentu i głębokiego zamiłowania sztuki. To też dotychczasowa jej działalność sceniczna była jednem pasmem tryumfów i owacyi, jakiemi darzyła ją publiczność czyto poprzednio na deskach teatru poznańskiego, łódzkiego, czy też wileńskiego, na których dotąd występowała. Z tem samem szczerem uznaniem spotyka się jej gra i na naszej scenie, której jest p. Barwińska prawdziwą ozdobą. Gra jej nader umiejętna, sumienna aż do drobiazgowości, opracowanie roli i głębokie przejęcie się myślą autora, czynią występ jej nader interesującym i wywołują zadowolenie w artystycznie usposobionem audytoryum. Już to przyznać trzeba dyrekcyi krakowskiego teatru, że nie szczędzi kosztów ani zabiegów, aby zebrać jak najodpowiedniejszy zespół artystów, dlatego też nie zdziwiło nikogo pochlebne uznanie, jakie Wydział krajowy w swem rocznem sprawozdaniu o stanie teatrów zamieścił pod adresem dyrektora Solskiego.

Zamieszczamy obok portret L. Barwińskiej.

Nowa sztuka Zapolskiej.

Zastaję p. Zapolską w jej prześlicznym ampirowym salonie. Siedzi przy biurku pokrytem bronzami, istnem cacku z XVIII wieku. Nad biurkiem na tle gobelinu, zegar z kurantem, także z XVIII wieku. Przez uchylone drzwi widać buduarek, a w nim meble białe ze złotem, autentyczny wiek siedmnasty. Dokoła przepyszne rzeźbione figurki saskie, sewrskie, jakiś bajeczny szpinet, sztychy. Słowem — małe muzeum. W niem autorka „Skiza“, ubrana w wytworną aksamitną zieloną suknię, bramowaną futrem — robi wrażenie sama jakiejś ze sztychu postaci.

— Musi pani być szczęśliwa? — pytam cały pod urokiem bytności na „Skizie“, tej niepospolitej sztuki o koronkowej, delikatnej robocie i wykończeniu. — Musi pani czuć się dumną, że znów obdarzyła nas pani dziełem tak pięknem i świeżem?



Zagadkowa śmierć kolportera: Zmarły kolporter »Nowości Illustrowanych«, Roman Grochowski. (Do artykułu na str. 4).

— Nie wiem, czy mi się udało! — odpowiada p. Zapolska.

— Ależ tak! Zresztą przecież widzi pani, jak publiczność jest zachwycona. Chodzi tłumnie — krytyki lwowskie jednogłośnie wydały najpiękniejsze oceny.



Leonia Barwińska.

— Tak! We Lwowie grali doskonale. Odczuli i zrozumieli ton dyskretny i delikatny.

— Czyż można inaczej grać „Skiza?“

Zapolska westchnęła.

— Widocznie można. Niech pan przeczyta krytyki warszawskie, dowie się pan z nich, że „Skiz“ to farsa à la Bałucki.

— Jest to nieporozumienie! Szkoda, że pani pojechać nie mogła do Warszawy i poddać ten ton.

— Proszę pana, ja nie przyjadę i do Krakowa, bo mi zdrowie nie pozwala — a ręczę panu, że tam artyści także potrafią najzupełniej trafić w ton właściwy i grać będą wykwintnie, subtelnie i kładąc nacisk na finezyę dyalogu.

Widzę, że wspomnienie krytyk warszawskich ze „Skiza“ rozżala znakomitą autorkę, zwracam więc temat rozmowy na inną drogę.

— Czy to prawda, że rok bieżący jest dla pani jubileuszowym?

— Tak panie.

— Dwadzieścia pięć lat?

Zapolska uśmiecha się szczerym, młodym uśmiechem.

— Ależ tak! Zaczęłam pisać tak młodo i tak młodo nauczyłam się zaciskać zęby pod cięgami krytyki.

— Dlaczegóż dopiero teraz dowiadujemy się o tym jubileuszu pani?

— Bo mam takie usposobienie! Nie lubię rozgłaszać o przekładach moich dzieł i o tem, że długo pracuję. Niechodzi o to, jak długo się wytrwało w pracy, ale czy ta praca dała rezultaty.

— Zdaje mi się jednak, że pani praca dała takie rezultaty, jakimi żaden autor poszczycić się nie może. Jest pani dziś najbardziej czytaną i najchętniej słuchaną autorką w Polsce.

— Tem lepiej! I widzi pan, to jest właśnie najlepszy obchód jubileuszowy, jeśli mogę stwierdzić prawdę słów takich, jak te, które pan powiedziałeś przed chwilą.



Gabryela Zapolska.

— Ale w każdym razie...

— Nie, nie. To mi najzupełniej wystarcza. Kto z autorów miał taką owacyę na swoim jubileuszu, jak ja podczas premiery „Tamtego“? a choćby obecnie we Lwowie podczas premiery „Skiza“? To nie urzędowe i z góry obmyślane — ale pod wpływem chwili i dlatego bardzo drogie.

Wniesiono telegram. Był to przeddzień premiery „Skiza“ w Krakowie.

— Pan pozwoli? Solski pyta o jakąś informacyę.

— Reżyserya na odległość.

— Och, drobnostka techniczna. Oni tam już ton odpowiedni wyczują. Są to artyści. Taki Sobek, Irena... moi dawni koledzy. Jestem spokojna.

Nakreśliła odpowiedź i oddała. Powstałem z żalem, bo miałem czas obliczony. Z Zapolską mówi się miło i gładko. W niczem nie pozuje i to jest jej wdzięk największy.

— Wraca pani do pracy?

— Tak. Zaczynam drugie ćwierć wieku pochylać się nad piórem. Chciałabym z lepszym jeszcze rezultatem.

— Jest pani zanadto chciwą...

— W tym razie chyba to nie grzech. Prawda?

— Prawda i jeszcze jedno. Czy prowincya galicyjska pozna „Skiza?“

— Ależ naturalnie! Mąż mój zrobi ze „Skizem“ *tournée* i to w wyborowej obsadzie i pod moją reżyseryą.

— A dekoracye, meble?

— Dekoracye malują się, a meble pojadą moje.

— Jakto, te autentyczne meble z XVIII wieku?

— Tak. Zobaczy pan, jakie tło wtedy będzie w sztuce.

— Spodziewam się! *L.*

Z lwowskiego bruku.

(Śnieg we Lwowie na dachach i w dziennikach. — Szlachetna defraudacya. — Wojna we Lwowie. — Dowcip p. Kurkowskiego a magistrat grzebiący).

We Lwowie od dni kilku pada śnieg, który zasypuje wszystkich i wszystko, a ponieważ przyszedł niespodzianie i nie było czasu przygotować się na jego przyjęcie, przeto wywołał w całem mieście wielkie zamieszanie. Wszędzie śnieg, śnieg i śnieg, nic tylko śnieg, a nawet w dziennikach mamy także śnieg, mianowicie w miejsce dotychczasowej wody, tak, jakby go mało było na dachach i ulicach.

Dzienniki oburzają się na ten przedwczesny śnieg bardzo słusznie, ale niestety, jak w wielu innych słusznych zarzutach, nie podają żadnego środka zaradczego i jeśli nie wstawi się za nami który z posłów sejmowych, albo z radnych miasta, to może być źle. Zapowiada się bowiem siedmiomiesięczna zima, a czego za wiele, tego nawet Lwów nie lubi. Ale zobaczymy co będzie, więc czekajmy cierpliwie, co powie niebo, do którego nawiasem mówiąc coraz więcej tracimy zaufanie. Wreszcie może się przebrać nasza cierpliwość, a wtedy nie ręczymy za siebie.

Jedyną sensacyą ubiegłego tygodnia była defraudacya w urzędzie podatkowym, popełniona jeszcze w lecie, ale dopiero teraz odkryta. Tym razem defraudant popełnił czyn nietylko śmiały ale poniekąd nawet szlachetny, że pomścił na urzędzie podatkowym choć częściowo nasze krzywdy. Między podatnikami, których graty wysprzedano w tym roku na licytacyi, panuje cicha radość z tego powodu, a gdyby istniało jakieś stowarzyszenie n. p. „Wzajemna niemoc podatników“ lub inne podobne, zamianowałoby Hermana Atlasa (tak się bowiem nazywa nasz mściciel) członkiem honorowym.

Były więc motywa czynu dość szlachetne, o ile chodzi o pomszczenie krzywd współobywateli, ale z drugiej strony nasz patryotyzm austryacki boleje nad tym wypadkiem bardzo. Teraz bowiem, kiedy grozi nam wojna połączonych mocarstw Serbii i Czarnogóry, każdy cent wydany na co innego, a nie na armaty, jest poprostu wyrzucony. Na swoje usprawiedliwienie mógłby wprawdzie powiedzieć dzielny Atlas, że w czasie, kiedy „podjął“ gotówkę nie było jeszcze mowy o wojnie, więc ani przypuszczał, czy wyrządza swoim krokiem taką krzywdę swojej ojczyźnie, że, gdyby był wiedział, nie byłby nigdy w świecie ruszał skarbu narodowego przeznaczonego na armaty i karabiny, ale dziś takie gadanie na nic się nie przyda i żałować tylko wypada, że na wypadek wojny o kilkuset wrogich Czarnogórców i Serbów mniej padnie na polu bitwy tylko dzięki defraudacyi Atlasa.

Może ta wiadomość o lwowskiej defraudacyi skarbowej wywołała w Serbii taką uciechę, że uważają szanse wojny za korzystniejsze i może tylko dlatego książe Jerzy tak śmiało wygłasza wojenne mowy, że aż jego starszy kolega Wilhelm czuje się pod względem odwagi w wymowie trochę upokorzonym i zepchniętym na dalszy plan. Bo dotąd szczęk oręża dawał się słyszeć tylko w mowach Wilhelma, jak wiadomo najdzielniejszego z królów pod względem wymowy, a dziś zaszachował go z kretesem młody Jerzy.

Wojna przyszła rozdzieliła Lwów na dwa wrogie obozy. Jedni są stanowczo za wojną i ci nawet mają przygniatającą większość, co budzi w sferach miarodajnych poważne obawy i niepokój. Drudzy natomiast są zdecydowanymi przeciwnikami wojny, i ci oświadczają się stanowczo przeciw wojnie, co znowu na sfery miarodajne działa kojąco. Która z tych partyj weźmie górę nad drugą trudno dziś przewidzieć z całą stanowczością, bo jedna i druga agituje za sobą gorliwie, ale najbardziej możliwą ewentualnością jest, że wybuchnie wojna między obiema partyami, w której bądź kawiarni i przyjdzie tam do strasznego rozlewu kawy.

I to będą może najstraszniejsze skutki przyszłej wojny. Inne dotąd jeszcze nie grożą. Wprawdzie wedle doniesień dzienników jakiś batalion czy pułk wojska w nocy pojechał do Bośni, wprawdzie widziano wczoraj dwóch żandarmów na dworcu kolejowym, którzy mieli groźne miny, jakby chcieli jechać do Serbii, zaaresztować całą Czarnogórę, sprowadzić ją do Lwowa i zamknąć tymczasowo w aresztach policyjnych, wprawdzie policya lwowska odwróciła się od złodziei i całą swoją uwagę skierowała obecnie na Bośnię i Hercegowinę, wprawdzie czerniowiecki korespondent *Wieku Nowego* obsadził na własną rękę Bukowinę żołnierzami rumuńskimi, których dotychczas nie odwołał, pozwalając im stać na śniegu i mrozie (co za okrucieństwo!) ale to wszystko i sto innych znaków nieomylnych, że wojna się zbliża, nie zdoła nas jeszcze przekonać i podług przepisu zastraszyć — my musimy usłyszeć pierwszy wystrzał bodaj z flobertu, aby zblednąć, wstrząsnąć się w naszych uczuciach patryotycznych, spakować wszystko co jest przeznaczone do strzelania, ubrania i jedzenia, a potem urządzić drapaka.

Jak dotąd ani nie uciekamy, ani siedzimy pewnie na miejscu, stąd powszechne zdenerwowanie, osłabienie, znużenie, i — głupstwa.

Tych nam nigdy nie zabraknie, nawet gdybyśmy obudziwszy się pewnego pięknego poranku dowiedzieli się, że cały lwowski magistrat znikł, jak zdefraudowana gotówka i raz na zawsze przestał istnieć. A to przykład ostatni: Pan Kurkowski człowiek, który obrał sobie miły i wdzięczny zawód grzebania bliźnich, uprzykrzył sobie to tycie na trupach ludzkich, bo lwowskie nieboszczyki to strasznie chude stworzenia. Od kilku więc lat narzuca gminie kupno swego zakładu i przekabacenie go na miejską instytucyę taniego a przyjemnego grzebania nieboszczyków, ewentualnie na raty. Od szeregu lat ciągnie się ta sprawa a p. Kurkowski widząc, że przy tym pośpiechu magistrackim gotów nigdy nie doczekać się tej rentownej sprzedaży, umyślił taki dowcip. Nastraszy magistrat, że szwabi chcą od niego odkupić wszystkich przyszłych umrzyków, to magistrat z pobudek potryotycznych chętniej przystąpi do kupna, bo przecież nie pozwoli, aby nas grzebali szwabi. I teraz zrobiło się larum. Szwabi nas chcą grzebać! Gwałtu, nie pozwólmy, aby nas szwabi grzebali! My pragniemy, aby nas grzebał magistrat! Tak dzwonią w dzwony.

Nowy gmach „Słowa Polskiego“.

W roku bieżącym całe wydawnictwo *Słowa Polskiego* przeniosło się z domu naftowego do własnego gmachu przy ul. Zimorowicza 11—15. Stylowo i z europejskim komfortem zbudowany gmach jest wyłącznie poświęcony celom wydawnictwa, to też postarano się o wszelkie wygody i urządzenia odpowiadające nowoczesnym wymaganiom.

Cały parter (frontowy) poświęcono na biura administracyi *Słowa Polskiego* oraz kantor zamawiań i sprzedaży. Pierwsze piętro zajmuje w całości redakcya, drugie piętro stanowi mieszkanie prywatne naczelnego redaktora i jednego z członków redakcyi, a na trzeciem mieszczą się mieszkania dyrektora administracyi p. Z. Medyckiego i sekretarza redakcyi p. Z. Raczkowskiego. Całe oficyny zajmuje drukarnia *Słowa Polskiego* jedna z największych w kraju. Gmach jest elektrycznie oświetlony, ma centralne ogrzewanie, dużo słońca i powietrza.



Fot M. Münz, Lwów.

Nowy gmach »Słowa Polskiego«: Członkowie Redakcyi. Siedzą od lewej ku prawej: Raczkowski, Biega, Wasilewski, Dąbrowski, stoją: dr. Sobolewski, Pepłowski, dr. Witwicki, dr. Weitz (Klewe), Gubrynowicz, Rutkowski, Ziembiński, Januszewski (Kłośnik), Szenderowicz, Wind.

Słowo Polskie jest dziś największym i najpoczytniejszym dziennikiem politycznym w Galicyi, a jednym z największych w całej Polsce. Redakcyą tego wpływowego, szczerze narodowego dziennika kieruje jego naczelny redaktor p. Zygmunt Wasilewski, znany literat i wytrawny publicysta, autor wielu doskonałych prac naukowych, przeważnie z zakresu literatury swojskiej, które mu zdobyły rozgłos w całej Polsce. Warszawianin z rodu, po ukończeniu szkół warszawskich i uniwersytetu został adwokatem, ale porzucił ten zawód dla służby dziennikarskiej, której w owej dobie odrodzony ruch narodowy wymagał więcej niż kiedykolwiek.

Redaktor Wasilewski pojmuje wysokie zadania szczerze po obywatelsku. Sam skromny, jest dla swoich współpracowników szczerym przyjacielem i opiekunem, wyrozumiałym szefem, dalekim od tak popularnego w naszem dziennikarstwie geszefciarstwa, wyzysku i dzikich wymagań. Pod takim **kierownikiem** pracują wszyscy **z prawdziwem zamiłowaniem przyjmując z** wdzięcznością jego cenne wskazówki, rady i nauki. Redaktor W. umie pozyskiwać dla swojej redakcyi gotowych już dziennikarzy i kształcić sobie nowych, zna **dobrze wartość** każdego współpracownika i jego zdolnościom umie nadać właściwy kierunek, zostawiając mu wszakże zupełną swobodę i samodzielność. Nie spekuluje na zysk finansowy, obracając dochody pisma na ciągłe ulepszenie i wzbogacenie jego treści. Stąd dział literacki i informacyjny *Słowa Polskiego* niema sobie równego w żadnym dzienniku naszego kraju.

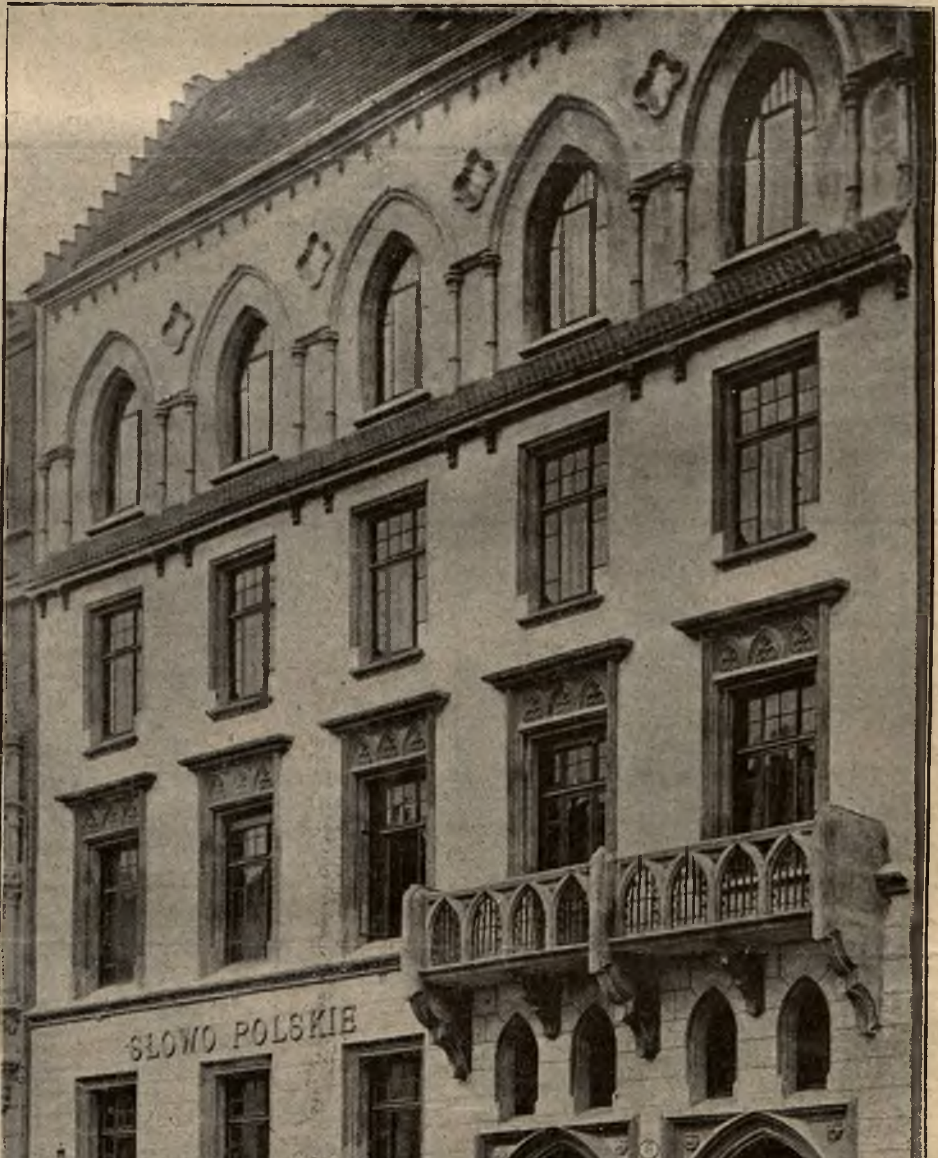
To też *Słowo Polskie* stało się pod redakcyą p. Wasilewskiego najlepiej redagowanym dziennikiem, skupiającym w sobie pierwszorzędne siły literackie i dziennikarskie w kraju. Na łamach *Słowa Polskiego* spotykamy utwory najgłośniejszych pisarzy i publicystów współczesnych, a w szeregu jego współpracowników znajdujemy liczne nazwiska znanych uczonych i profesorów uniwersytetu.

Administracyą *Słowa Polskiego* kieruje jej dyrektor pan Zygmunt Medycki, człowiek niezwykłych zdolności i energii.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowy gmach »Słowa Polskiego«: Naczelny redaktor Wasilewski w swym gabinecie.



Gmach »Słowa Polskiego«.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

16 Ciąg dalszy.

Niesłychaną było rzeczą, by tak lekceważąco zachowywać się wobec swego zwierzchnika! Kto go upoważnił do nieprzychodzenia. Poruczył mu sprawę, a Javel zadowolił się tylko telefonowaniem i nie zjawił się więcej. A jeżeli on miał dla niego robotę?... i rzeczywiście miał... inni ajenci byli pozajmowani, liczył więc na niego, czekał aż do ósmej godziny. Jeśliby wtedy miał kogo pod ręką, byłby już teraz na dobrej drodze. Co może na to odpowiedzieć, jak się usprawiedliwić, jak wytłomaczyć z tego zaniedbania obowiązków?

— Pan komisarz — odezwał się wreszcie Javel, dobierając słów — w tej chwili powiedział, iż tylko ważna jakaś przyczyna mogła przeszkodzić mi w spełnieniu obowiązku, mam tedy zaszczyt oświadczyć, iż stało się według rozkazu pana komisarza. Przyczyna ta jest następująca: niech pan komisarz pójdzie ze mną, a w przeciągu niecałej godziny pokażę zbrodniarza z bulwaru Lannes; wszystko zrobione, trzeba go tylko aresztować. Widzi więc pan komisarz, że ja się nie bawiłem tej nocy, a sprawę wprowadziłem na dobrą drogę, może lepszą, niż pana komisarza.

Komisarz słuchał go zdumiony. Nowina ta wydała mu się do tego stopnia nieprawdopodobną, iż zrodziło się w nim podejrzenie, czy przypadkiem ajent nie odważył się z niego zażartować. Zwrócił się więc do niego:

— Niech mi pan powtórzy jeszcze raz, co pan przed chwilą powiedział.

— A więc powtarzam, że schwyciłem zabójcę z bulwaru Lannes i że w przeciągu godziny może go pan komisarz mieć w swych rękach.

— Niechże się wreszcie dowiem, jak pan tego dokonał?

— Kiedy niema czasu na opowiadanie, jedźmy zaraz, byśmy potem nie potrzebowali gonić. Po drodze opowiem wszystko ze szczegółami, na razie podam tylko jeden najciekawszy, a zarazem najważniejszy, że człowiekiem, który zamordował starca na bulwarze Lannes, którego ścigałem przez całą noc, którego jeden z kolegów trzyma obecnie na ulicy Orleańskiej, którego wreszcie ma pan komisarz aresztować, jest Onesime Coche.

— Czyś pan zwaryował? — zawołał żywo komisarz.

— Bynajmniej... a gdy powiem, że spinka najzupełniej podobna do tej, którą znaleźliśmy przy trupie, znajduje się na kominku w domu pod numerem 16 przy ulicy de Douai, przyzna pan komisarz zapewne, że należy zapytać pana Onesime Coche'a, co czynił w noc morderstwa?

VIII.

Onesime Coche obudził się dopiero o pół do jedenastej, wypoczęty, mimo to z bólem głowy. Podczas nocy miał tyle najrozmaitszych snów, iż obecnie z trudnością przychodziło mu skupić swe myśli. Zdziwił się, widząc się w tym pokoju, nierozebrany na łóżku. Było zimno; wszystko dokoła było jakieś smutne, pomięte, brudne. Ściany wyklejone jasnym papierem w niebieskie i czerwone kwiaty popstrzone były wilgotnemi plamami. Łóżko twarde, niewygodne okrywała kołdra, z której przez dziury wyglądały kawałki waty. Po tem obejrzeniu pokoju przypomniała mu się dopiero ucieczka przez ulice i ten fakt, iż był śledzony przynajmniej od Luksemburgu. Usiłował ściśle rozumować.

Czy mu się wydaje tylko, czy też rzeczywiście był śledzony?... Po co wybierać przypuszczenie gorsze, kiedy będzie to zupełnie naturalnem, jeżeli uzna, ze ten człowiek, którego ujrzał koło Luksemburgu, był najzwyklejszym przechodniem. Lecz on śledził go... dlaczego? czyż nie mógł wracać akurat tą samą drogą do siebie. Lecz dlaczegóż, gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, zadrżał cały i doznał uczucia jakiegoś strachu... wrażenie to widocznie nie minęło jeszcze, kiedy wzdryga się obecnie na samo jego wspomnienie. Tutaj dopiero pojął Coche uczucia zbrodniarza, zamienionego pościgiem w rozwścieczone zwierzę, gdy wciskając się w kąt, zbiera resztki sił, by rzucić się na ścigających nie dla sprzedania drogo swego życia, lecz dla utopienia w krwi przeciwników przeżytego lęku...

Podniósł się z łóżka, zbliżył się do okna i nie podnosząc firanki, spojrzał na ulicę. Naprzeciwko po trotuarze ktoś wolno spacerował. Na widok ten cofnął się szybko, nie przestając obserwować, zdawało mu się bowiem, iż człowiek ten spojrzał na niego; po chwili przekonał się, iż on rzeczywiście podnosi ciągle oczy do jego okna. Zimny pot go oblał. Niema już żadnej wątpliwości. Ten człowiek śledzi, czatuje na niego! Odpędzić chciał od siebie tę myśl, lecz naprożno, powracała ona ciągle, przywodząc mu jednocześnie obrazy z nocnej ucieczki. Stał się jak dziecko bezradne, nie mogąc myśleć nawet o ratunku dla siebie.

Umysł Coche'a wyczerpany przejściami ostatnich dni, wypowiadał mu posłuszeństwo. Zdawało mu się, że to wszystko co przeżywa, jest tylko grą podnieconej jego wyobraźni, mimo to czuł instynktownie, że jest śledzony.

Przed domem stało obecnie już kilku ludzi, jakby naradzając się, poczem weszli do środka. Słyszał skrzypienie schodów pod ich stopami. Szmer ten to ustawał, to znowu go dolatywał. Z początku rozróżniał tylko jakiś przytłumiony szept, potem usłyszał już wyraźne słowa, resztki rozmów:

— On tam jest... uwaga... żadnego hałasu!

Wreszcie wszystko ucichło... co czynić? Został otoczony ze wszystkich stron... pod oknami stoją szpiedzy, ta droga ucieczki jest więc odciętą. Koło kominka drzwi do drugiego pokoju były zupełnie zabite... więc co? czekać aż się drzwi otworzą i rzucić się na wchodzących?... a więc niech i tak będzie.

Nie czując doniosłości tego, co czyni, wyjął z kieszeni rewolwer i, oparty o framugę okna, czekał. Głosy, czy to rzeczywistość, czy też ułuda tylko, nie mógł zdać sobie z tego sprawy, stawały się wyraźniejsze. Ktoś mówił:

— Przy najmniejszym ruchu już wiecie...

Znowu nastało milczenie. Z ulicy nie dochodził najmniejszy turkot. Zdawać się mogło, że życie zamarło na chwilę. Z sąsiedniego pokoju dochodziło miarowe tykotanie zegara... Nagle zapukano do drzwi... wydało mu się to zupełnie naturalnem, czyż nie podlegał bezustannie złudzeniom, które go ciągle straszyły policyą?... ona to była tam za drzwiami... nie powinien jednak odpowiadać, milczał też, ściskając silnie rewolwer. Zapukano znowu — to samo milczenie, nagle drzwi się rozwarły.

(Ciąg dalszy nastąpi)

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności)

Zagadki do nagrody

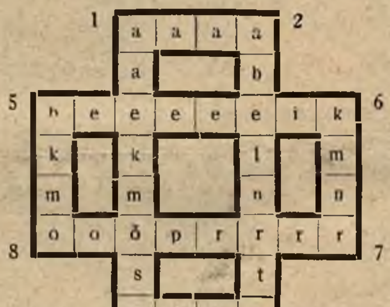
Szarada.

Ułożył Włodzimierz Macherski.

Wiadomo przecie,
Że dobrze pierwsze trzecie,
Kto z pierwszej, drugiej, trzeciej
Pożytek sobie kleci.
Wszak drudzy, trzeci, czwarci
I wszyscy — dużo warci.

Plecionka.

Ułożył Karol Fuchs.



Znaczenie wyrazów: 1—2, zwierzę (przeżuwacz). 2 - 3, czernidło 1—4, słodycz. 4—3, inaczej brzeg. 5—6, krzew. 6—7, niezgoda. 5—8, niedostatek. 8—7, miara długości

Logogryf.

Ułożyła Pojata z Warszawy.

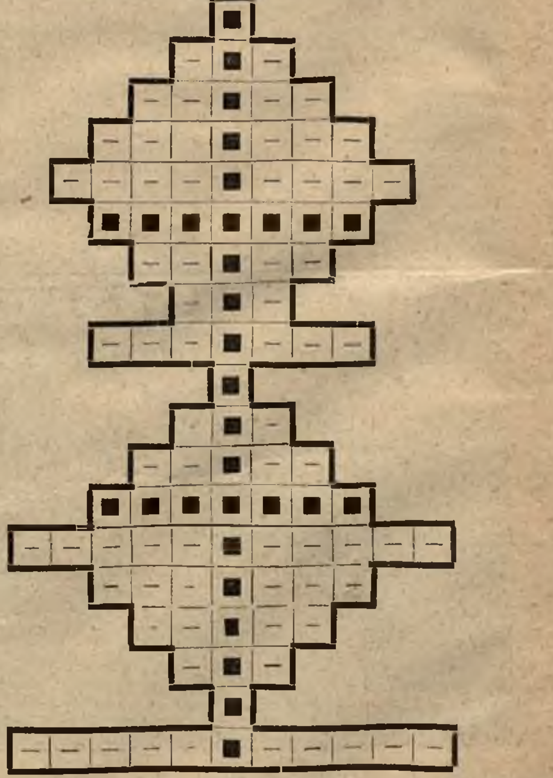
Z następujących zgłosek ułożyć piętnaście wyrazów w ten sposób, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, tworzyły imię i nazwisko słynnego człowieka z XV wieku, a końcowe jego czyn: a, ba, cy, da, fi, go, i, i, ka, kon, lan, le, le, li, lnck, lu, ły, mek, mae, ni, o, o, pa, par, per, pi, po, rym, san, szyr, ta, ta, ter, ti, ti, tis, ty, tro, u, um, wid, wiec, york, za, zło.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Afryce. 2. Postać z poematu Mickiewicza. 3. Część mowy. 4. Hrabstwo w Anglii. 5. Rodzaj obuwia. 6. Owad. 7. Wyspa australska. 8. Drogie kamienie, 9. Cnota altruistyczna. 10. Metal. 11. Miasto na Śląsku. 12. Władca czarnych duchów. 13. Przymiotnik, oznaczający wadę. 14. Współczesny pisarz. 15. Współczesny śpiewak.

Logogryf.

Ułożył J. Januszewski Podgórze.

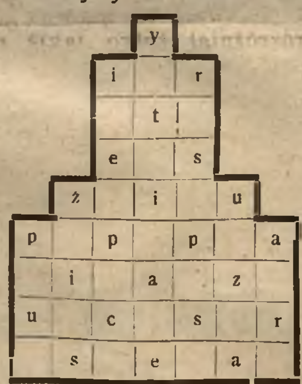
Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce kwadratów czytane w pionowym kierunku dały: imię i nazwisko sławnego hetmana polskiego, w szóstym rzędzie miejsce przez niego wygranej bitwy, w trzynastym zaś rzędzie miasto przez niego założone.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zaimek. 3. Miasto w Czechach. 4. Ideał narodów. 5. Inaczej tyran. 6. ?. 7. Autor dzieła »Za Apeninami«. 8. Przestrzeń zarosła drzewem. 9. Wulkan w Europie. 10. Spółgłoska. 11. Pierwiastek. 12. Rzeka w Rosyi. 13. ? 14. Inaczej oświata. 15. Miasto w Poznańskiem. 16. Zamek królewski. 17. Owad, 18. Spółgłoska. 19. Hetman polski z XVII. wieku.

Zagadka pomnikowa.

Ułożył J. Zdz. Kraków.



Litery połączone ze sobą kreskami, które jednak nie mogą się krzyżować, dadzą nam dwu tegorocznych jubilatów.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania G Zapolskiej: »Mężczyzna«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 41

Szarada.

Krokodyl.

Logogryf.

Dygasiński Adolf, Garstka.

Logogryf.

Skąpy dwa razy traci.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Ks. J. Dulian Padew, J. Wilgus Wadowice, O. Górkowa Chyrów, A. Ponc Grojec, A. Nikosiewiczowa Krzywe, M. Rożański Lipinki, M. Arbesbauer Lwów. S. Łuszkiewicz Dębica, A. Bocsoń Bóbrka, H. Mokrzycka Romanówka, J. K. Januszewski Podgórze, K. Fuchs Czeremchów, W. Spirydowicz Stara Sól, M. Opolska Czarny Dunajec, A. Mussil Lwów, K. Chodkiewicz Zbydniów. Z. Rogoziński Tarnopol, K. Czarkowski Horodenka, K. Opidowicz Lipnica. Z. Feigenbaum Kołomyja, E. Ostersetzer Kołomyja, J. Rysiński Płock, Z. Klimontowicz Warszawa, R. Leżański Łódź, W. Szymański Sandomierz, W. Kapuściński Czerniowce, L. Ostrowski Rzeszów, K. Gajewski Lwów, Pragłowski Tarnopol, J. K. Stanisławski Nowy Sącz, A. Szczygielski Kraków, W. Nowicki Kraków, M. Skąpski Tarnów, J. Bróż Rzeszów, K. Szpila Przeworsk, A. Oleksiński Czarny Dunajec, W. Zawiłowski Rzeszów, W. Ossowski Warszawa, K. Szymański Lwów, Z. Gabrysiewicz Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał W. Szymański Sandomierz. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Kto zajmuje się pilnie wypadkami, jakie rozgrywają się na półwyspie bałkańskim, znajdzie bardzo pożądany środek pomocniczy przy oryentowaniu się w sytuacyi w świeżo wydanej u G. Freytaga we Wiedniu: *Mapie półwyspu bałkańskiego* (nowoprzejrzane wydanie z r. 1909. Cena 1 20 K.). Znakomicie odtworzona mapa niezbędną jest dla każdego, kto uważnie i ze zrozumieniem chce śledzić wypadki na Wschodzie. Nową mapę nabywać można we wszystkich księgarniach lub wprost u firmy nakładowej G. Freytag & Berndt (Wiedeń VII. Schottenfeldgasse 62).

Na pamiątkę 60 letniego jubileuszu panowania J Ces. i Król. Apost. Mości Cesarza Franciszka Józefa w Austryi, napisał wierszem Stanisław Wajda, starszy nauczyciel w szkole wydz. im. Ces. Franc. Józefa I. Kraków 1908. Nakład autora, drukarnia Uniwersytetu Jagiel.

Autor pięknym i potoczystym wierszem podaje dzieje panowania cesarza jubilata z okazyi sześćdziesiątej rocznicy wstąpienia na tron. Broszurka o 15 stronicach, ozdobiona podobizną nestora monarchów, robi bardzo dodatnie wrażenie, a ton, w jakim jest napisana, świadczy o sympatyi, jaką sędziwy monarcha cieszy się u swych poddanych.

Świeżo opuścił prasę drukarską drugi tom *Nowości literackich*, zawierający Jana Lorentowicza rozprawę literacką p. t.: Młoda Polska I. Autor, znany zresztą chlubnie w naszej literaturze, w sposób barwny a przystępny zapoznaje czytelnika z działalnością „Młodej Polski“ i modernizmem, oraz podaje sylwetki literackie Miriama, Ant. Langego i Kasprowicza. Bardzo staranne wydanie przy nader niskiej cenie, rokuje wydawnictwu świetną przyszłość. Główny skład w księgarni Sadowskiego w Warszawie.